

Bohdan Cywiński

## NARODY EUROPY WSCHODNIEJ W POLSKIEJ MYŚLI POLITYCZNEJ XIX WIEKU

### Jak mówić o polityce w kraju zniewolonym?

Dziewiętnastowieczna Europa była – a na pewno przynajmniej wydawała się – bytem politycznie stabilnym. Zmiany w proporcjach sił oczywiście zachodziły, ktoś słabł, a ktoś inny rósł w siłę, ale radykalnych przemian w strukturze politycznej kontynentu nie przewidywał bodaj nikt. A już najmniej w jego środkowo-wschodniej i wschodniej części, od ponad stu lat poddanej trzem cesarstwom: rosyjskiemu, niemieckiemu i austriackiemu. Ludy w tych mocarstwach żyły różne, ale pojęcie narodu jako wspólnoty etniczno-kulturowej, która może mieć jakieś aspiracje polityczne, przywiązywano z reguły do państwa, które tą wspólnotą aktualnie rządziło i – w myśl ówczesnych zachodnioeuropejskich wyobrażeń – nadawało jej realny byt. W Europie Wschodniej narodów zatem nie było. Było cesarstwo rosyjskie i jego poddani: pełnowartościowi Rosjanie i niechętnie tolerowani *inorodcy*. Wskazywały na to choćby dokumenty poddanego. W jakiej mierze potwierdzało to – a w jakiej temu przeczyło – jego osobiste przekonanie, to sprawa bardzo niejasna, w każdym wypadku odmienna, a dziś dla analizującego ją historyka – to pytanie otwarte.

Możemy więc zapytać, w jakim sensie, w jakiej mierze i w jaki sposób istniały już wówczas te narody *ukryte* czy *zaprzeczone*, jakie były mierniki rzeczywistego istnienia każdego z nich i ich dynamiki rozwojowej w kolejnych pokoleniach długiego XIX w. Zastanawiając się, co zauważała na ich temat myśl polska, trzeba zadać pytanie, co na tych etapach było po prostu do zauważenia i nazwania. W podobny sposób trzeba odnieść się do samego pojęcia *myśl polska*. Polska, to znaczy która? Sformułowana przez carskiego poddanego, który był (czuł się?) Polakiem, ale może równocześnie Ukraińcem, Litwinem czy Białorusinem, czy też ta, która wyrażała w danym momencie *polską rację stanu* albo – ostrożniej! – ówczesną opinię Polaków? Dobór źródeł w takiej pracy badawczej w każdym wypadku będzie bardzo dyskusyjny. Wnioski też.

Ogromny problem wiąże się z określeniem *myśl polityczna*. Mówimy o epoce i o sytuacji politycznej, w której taka myśl Polaka na pewno jest dla władzy zaborczej zjawiskiem głęboko podejrzanym, a chętnie bywa kwalifikowana jako przestępstwo, czasem nawet – jako zbrodnia. Najbliższe dwadzieścia lat można spędzić za Bajkałem... W znacznie późniejszej epoce, w latach 70. XX w., w trochę podobnych warunkach, powtarzaliśmy sobie ironiczne zalecenie: *Najlepiej nie myśl. Jeśli pomyślałeś, nie mów. Jeśli powiedziałeś, nie pisz. Jeśli napisałeś, nie podpisuj. A jeśli podpisałeś, to już się niczemu nie dziw...* Czy należy przypuszczać, że z tego względu nasi rodacy z XIX czy XX w. o polityce nie myśleli, nie mówili, a już na pewno nie pisali? Nawet najbardziej pobieżna wiedza historyczna wskazuje, że było inaczej. *Długie nocne rodaków rozmowy* trwały przez pokolenia. Nie wszyscy w nich uczestniczyli, ale wielość rozlegał się i w kraju, i szerzej – *od Chicago do Tobolska...*

Najważniejszy temat tych rozmów: terażniejszość i przyszłość Polaków nieuchronnie prowadził do stawiania pytań, formułowania tez i wysuwania programów działania niepożądanego z punktu widzenia potężnych wrogów, a najczęściej po prostu nielegalnego w ich państwach. Dlatego wypowiediany tekst zawsze w jakimś stopniu – czy wyczuwamy dziś, w jakim? – musiał podlegać roztropnej autocenzurze. Ale też wysłuchiwany był, czy odczytywany, z tą samą świadomością, że to, co jest w nim powiedziane *expressis verbis*, to może tylko część zamierzonego przez autora przekazu. Resztę odbiorca dopowiadał sobie sam – każdy trochę inaczej: jeden zbyt nieśmiało, drugi czasem na wyrost. Warto i o tym pamiętać.

Tekst był wypowiediany nie tylko ze świadomością, że słucha go wróg. Ważniejsze było to, jak jego treść przyjmie odbiorca *swój*. Czy zechce słuchać myśli nie tylko nielegalnej, ale surrealistycznej, wykraczającej poza codzienną otaczającą rzeczywistość? O wolnej, niepodległej Polsce mógł przed 1914 r. marzyć i opowiadać tylko *oszołom*. Słuchali go zaś zwykli poddani niemieccy, austriaccy i rosyjscy, dzieci, wnuki i prawnuki takich samych poddanych obcych państw. Prorok musi pogodzić się z tym, że będzie uznany za oszołoma. Ale też dlatego na ogół nie formułuje precyzyjnych programów, woli być poetą. Pol-szczyzna ma tu słowo kluczowe dla nazwania tego budziciela nadziei: *wieszcz*.

Swoiste *odrealnienie* kwestii politycznego istnienia Polski i Polaków jako narodu z jednej strony blokowało rozwój polskiej myśli i debaty politycznej w ich normalnym, dyskursywnym kształcie, z drugiej – z emocjonalną natarczywością domagało się odpowiedzi, czy Polska zginęła, czy jeszcze nie i czy kiedykolwiek powróci do realnego istnienia. W tej sytuacji całokształt *sprawy polskiej* – a z nią interesująca nas tu kwestia polskich relacji z narodami sąsiadującymi – szukały sobie innych, niż dyskurs polityczny, płaszczyzn wyrazu, pozwalających dotrzeć do możliwie szerokiej opinii społecznej – i poruszyć zbiorowe

emocje. Nie chodziło jednak o samą formę czy miejsce wypowiedzi. Brak perspektyw politycznych skłaniał do sięgnięcia w głębsze warstwy wspólnej tożsamości narodowej, a więc w przestrzeń szeroko pojętej kultury i zawartego w niej, nie formułowanego słowem, ale podświadomie wyczuwanego i uznawanego za wspólny etosu. Od dziecięcej odpowiedzi na wierszykowe pytanie: *Kto ty jesteś? – Polak mały...* po pełne zawziętego gniewu słowa *Roty* – właśnie kultura i głoszone przez nią buntownicze wartości były przestrzenią wspólnego bytu i potwierdzeniem realnego istnienia nieobecnej politycznie Polski. Najkrócej mówiąc, Polska była wtedy rzeczywistością kulturową.

I tak się właśnie manifestowała. Najgłośniej poprzez słowo literatury, wspomaganej dźwiękiem muzyki i pędzlem malarzy. Otto Bismarck ironizował, że Polacy to dziwny naród: *W literaturze uprawiają politykę, a w polityce – literaturę*. Wtórował mu wytrawny rusyfikator oświaty w zaborze rosyjskim W.I. Smorodinow, utyskujący, że *literaturę polską drugiej połowy osiemnastego i całego dziewiętnastego wieku w znacznym stopniu przenika tendencyjność, głęboki polski patriotyzm, a często wprost nienawiść do Rosji i wszystkiego, co rosyjskie...*<sup>1</sup>. Obu tym sądom trudno odmówić pewnej historycznej słuszności – ta literatura rzeczywiście naładowana była tendencjami wolnościowymi, niejednokrotnie aż ponad wytrzymałość artystyczną utworu. Charakterystyczne, że nie raziło to smaku jej polskich czytelników.

Właśnie: oddziaływała na czytelników. Na tych zatem, którzy umieli ją przeczytać. Z natury nie sięgała poza kulturową granicę piśmienności, poniżej której pozostawały ogromne masy analfabetów i tych, niby po trosze umiających przeczytać prosty i krótki tekst, ale nigdy nie zdolnych sięgnąć po książkę. Wiedza o życiu, o świecie bierze się, jak wiadomo, z *powietrza*, a z nią dopłynąć mogą i elementarne wiadomości o narodzie własnym i o narodach sąsiednich, innych od *nas*, ale też w bliskim świecie obecnych. Podstawowe – na pewno nie nazwane – intuicje moralne dobra i zła najprostszy człowiek odnajdzie z kolei we własnym wnętrzu. Pouczenie docierającej od otoczenia kultury ma mu jedynie pomóc w powiązaniu tych intuicji z owym obrazem świata swoich i obcych. Którędy zatem i w jakiej postaci docierała owa kultura moralna, a z nią i pierwsze wyobrażenia *polityczne*, do rzeszy niepiśmiennego, a więc od książki odciętego, ludu?

Dróg było pewnie sporo, ale wyróżniłbym tu jedną, szczególnie widoczną w polskim dziewiętnastowiecznym krajobrazie. Wiodła od jakiejś zamglonej, trudnej do określenia hierarchicznej kościelnej *góry* przez nieudolne parafialne kazanie ku zwykłym rodzinnym stołom. Nie chcę – broń Boże – wagi tego przekazu przeceniać. Był na pewno bardzo ograniczony treściowo, zwłaszcza

<sup>1</sup> W.I. Smorodinow (1913): *Vospominanija, Russkaja Starina*.

w tym, co mówił o otaczającym świecie. Rozprzestrzeniał się jednak bardzo szeroko, był coniedzielnie ciągły – i stanowił bodaj jedyny stały przepływ myśli o wartościach, łączący dwa światy: ludzi oświeconych i analfabetów. Ksiądz był od tego, żeby pouczał lud. I księdzu – nie ankietarowi – człowiek z ludu po swemu mówił, co o tym świecie myśli. Mądry proboszcz był w tym kraju prototypem socjologa. W zasadzie miał być wychowawcą, ale jednocześnie bywał czasem propagandzistą. Obserwacja terytorialnego rozchodzenia się i zanikania choćby idei powstańczych 1863 r. w Wielkim Księstwie Litewskim nauczyła mnie na ten temat sporo.

Tyle że momenty powstań i – szerzej: wzywanie ogółu rodaków do jawnego zmanifestowania wolnościowych pragnień i woli walki z zaborcą – stanowią ten czas wyjątkowy, kiedy zdeterminowany polityk porzuca śpiewność patriotycznej literatury i mniej się ogląda na treść kościelnych kazań i listów pasterskich. Występuje z własnym otwartym apelem do działania. Apel nosi zawsze konkretną datę, wzywa do wystąpienia natychmiast: *Oto DZIŚ dzień krwi i chwaly!* Nie zamierza stopniowo wychowywać, jest okrzykiem, wezwaniem do boju, często wręcz komendą. Chce, by ogół wzywanych uwierzył, że jego treść jest owocem głębokiej myśli politycznej, ale nie bawi się w długie uzasadnianie swych tez i na pewno nie ujawnia swojej rzeczywistej strategii. Jako świadectwo myśli, jej założeń i jej dalekosiężnych celów ideowych jest więc też niepełny, kulawy. Lepszą ilustracją historycznego sensu podejmowanej walki bywa czasem bieg jej wydarzeń i to, co nadejdzie po jej klęsce lub – zwłaszcza – po zwycięstwie...

Do takich uwag na temat dziejów formułowania polskiej myśli politycznej i jej docierania do szerszej świadomości społecznej skłania ogólny obraz epoki zaborów. Wyróżnia się w niej jednak wyraźnie odmienny okres ostatni, rozpoczynający się gdzieś w połowie lat 80. XIX stulecia. W różnych miejscach geograficznych i środowiskach ideowych niezależnie od siebie pojawiają się wystąpienia nowe, sięgające po nieużywane wcześniej środki wyrazu i przekazu.

Mają dwie formy prezentowania treści. Pierwszą i zasadniczą jest tu rozbudowany treściowo traktat ideologiczny, wychodzący od sądów o wartościach, opisujący następnie określony, szerszy lub węższy, wycinek świata społecznego z wyodrębnioną w nim grupą ideologicznego *my* (na przykład nasza rasa, nasz naród czy klasa społeczna), wreszcie wzywający do określonego zespołowego działania politycznego dla osiągnięcia założonego celu grupowego. Wtórna, pochodną od poprzedniej, formą jest krótka odezwa ideologiczna lub polityczna, ulotka skierowana do niewyrobionego masowego odbiorcy i po prostu wzywająca go do walki. Za traktatem teoretycznym stoi intelektualnie wyrobiony autor, często przyszyły wybitny przywódca partyjny lub jego *alter ego*, za ulotką – energiczna komórka tego czy innego partyjnego aparatu. Proponowane

idee i hasła okażą się tu różne, wspólny im będzie natarczywy ideologiczny ton i posługiwanie się prymitywnymi stereotypami politycznego wroga, którego trzeba zniszczyć. Pojawienie się tych nowych postaci myśli politycznej można chyba uznać za zapowiedź XX w. – stulecia walki ideologii partyjnych.

Przedstawiony tu obraz dróg politycznego myślenia dziewiętnastowiecznych Polaków po pierwsze akcentuje szczególną wielopostaciowość i skomplikowanie tych ścieżek, po wtóre – narzuca pewne przestrogi metodologiczne dla ich współczesnego badacza. Ślady tej myśli politycznej spotkamy na podłożu bardzo zróżnicowanym, nigdzie nie będą dostatecznie wyraźne i łatwo czytelne. W literaturze pięknej uwikłane będą w literacką baśń, w przekazie kaznodziej-skim pojawią się w specyficznym kontekście religijnym i odbijać będą spory i niechęci wyznaniowe, wezwania do powstań okażą się gorące, ale myślowo najczęściej płytkie, a treść ideologicznych traktatów będzie czasem tylko ilustracją międzypartyjnych kłótni. W każdym z tych świadectw znajdzie się jednak jakiś ślad myślenia z tamtej epoki. By go napotkać i mniej więcej prawidłowo odczytać, trzeba będzie w każdym wypadku dobrać specyficzne narzędzia interpretacji danego źródła. Okazji do popełniania błędów będzie zatem sporo. Sądzę jednak, że tylko przez te bezdroża badawcze możemy dotrzeć do ówczesnego myślenia o sprawie polskiej – i o sprawach naszych narodowych sąsiadów i pobratymców.

### **Dokąd sięga *sprawa polska*?**

Zaglądający do dokumentów, źródeł i wszystkich tekstów polskiej myśli politycznej okresu zaborów współczesny uczony politolog musi zareagować na nią z niechętnym dystansem czy nawet lekceważeniem: jakaż ona naiwna, emocjonalnie nieobiektywna, jaka zupełnie nieprofesjonalna... Trudno się z tą opinią, a zwłaszcza z jej ostatnim członem, nie zgodzić. Była to myśl ze wszech miar amatorska. W pełnym tego słowa znaczeniu: szeroko upowszechniona i żywa emocjonalnie – wyrastała z niegasnących, nie dających się stłumić, bolesnych uczuć, z protestu przeciw historii, która toczy się torem złym, więc nieprawdziwym. Nie zgłębiała obiektywnej wiedzy o mechanizmach procesów politycznych. Była jedną wielką, wytrwałą, a więc wieloetapową, obroną *sprawy polskiej*. Samo pojęcie *sprawy polskiej* jest zresztą dzieckiem tamtej epoki, wtedy pisane – i myślane – bez żadnego cudzysłowu i dużą literą, znaczyło sumę wartości bezsprzecznie ważnych i wspólnych wielu uczciwym Polakom. Miało być tym, co nas łączy w dziejowym uporze i oporze.

Cała problematyka ludów i narodów, do 1772 r. żyjących wraz z etnicznymi Polakami w jednej Rzeczypospolitej, przez cały okres zaborów pojawiała się



w polskiej myśli politycznej jako element sprawy polskiej. Rozważano ją jako problem wewnętrzny naszego państwa istniejącego przed rozbiorami, a później oficjalnie zanegowanego i wykreślonego z mapy, ale w polskim przekonaniu *jakoś* ciągle ukrycie trwającego i może kiedyś zdolnego na tę mapę powrócić – w niewiadomym na razie politycznym, terytorialnym i ludnościowym kształcie. To podkreślanie dawnego uczestnictwa tamtych ludów we wspólnym z Polakami – i przez Polaków w jakiejś mierze zdominowanym – organizmie politycznym i kulturowym miało wagę podwójną. U niektórych bywało znakiem pragnienia, by ta polska dominacja trwała dalej i określała oblicze całego regionu także w nieznannej przyszłości. U innych wynikało z oceny szans walki o zachowanie narodowej tożsamości wszystkich tych podmiotów wobec stałego zagrożenia ze strony imperializmu rosyjskiego: oparcie się na relatywnie tu najmocniejszym podmiocie polskim ewidentnie te szanse słabszych partnerów zwiększało. W obu zaś wypadkach to ściśle powiązanie spraw narodów sąsiedzkich ze świętą dla Polaków i najbardziej ich angażującą emocjonalnie *SPRAWĄ POLSKĄ* włączało te odrębne dążenia w krąg rzeczy ważnych dla całego regionu, obejmowanych szeroko uznanym hasłem: *Za wolność naszą i waszą*. To zaś miało niewątpliwy sens polityczny.

A dla historyka polskiej myśli politycznej to dziewiętnastowieczne powiązanie sprawy litewskiej, białoruskiej, nawet łotewskiej, a oczywiście i ukraińskiej z całokształtem problematyki losu polskiego jest wyraźną wskazówką, że dla odczytania ówczesnych sądów o tamtych sąsiadach musi on podjąć analizę tego, co tkwiło wtedy w całym temacie pokrywanym pojęciem sprawy polskiej.

Rozważania tej rozległej tematyki rozpoczynały się od pytania najboleśniej i narzucającego się najszerszemu gronu rodaków: dlaczego ponieśliśmy druzgoczącą klęskę, co sprawiło, że Polska, że Rzeczpospolita Obojga Narodów upadła i przestała istnieć? Próby odpowiedzi na to pytanie pojawiły się od razu po 1795 r. i były kontynuowane przez historyków, pisarzy, ideologów i żołnierzy aż do samego końca epoki zaborów i oczywiście – dużo później. Najszybciej i z największą pewnością nasuwała się odpowiedź wskazująca na antypolskie sprzysiężenie trzech zaborców. Nie sposób było jej odmówić elementarnej słuszności – potężne kiedyś państwo upadło w drodze zaplanowanego i dokonanego przez nich podboju. Fakt ten nie rozwiewał jednak wątpliwości, co sprawiło, że w zderzeniu z tą napaścią okazaliśmy się tak bardzo słabi. Tu wskazywane przyczyny wewnętrzne państwa polskiego okazywały się różne i rozmaicie szeregowane: jedni mówili najpierw o wadliwym ustroju politycznym, o słabości władzy centralnej i karykaturalnie rozrosłej samowoli bądź całej szlachty, bądź raczej niewielkich liczbowo, ale bardzo wpływowych koterii magnackich. Inni na pierwszym miejscu stawiali kwestie socjalne: poddaństwo chłopów czy polityczną nieobecność miast, niski generalnie, a bardzo

zróznicowany społecznie i geograficznie poziom kulturalny i cywilizacyjny całej ludności kraju. Czasem też wskazywali na osłabiające wspólną tożsamość konflikty wyznaniowe. Nie brakło także gorzkich słów o niedostatkach zbiorowej moralności politycznej tych czy innych warstw społecznych, o indywidualnych czy środowiskowych zdradach sprawy polskiej czy o poddawaniu się egoistycznej bierności w momentach ważnej próby.

Przypominanie tych kolejnych słabości dawnego państwa i win jego obywateli wkraczało w obszar wspólnej pamięci historycznej, kontrastując z upiększonym obrazem minionej przeszłości. Rozważanie odnosiło się zawsze do całego terytorium państwa sprzed roku 1772. Granice te pozostawały w zbiorowej świadomości niepodważalne. Dobrze byłoby stwierdzić, jak postrzegany był w dyskusjach kraj, który te granice obejmowały: dla kogo był on – zgodnie z oficjalnym, prawnym określeniem – Rzeczpospolitą Obojga Narodów, dla kogo po prostu – Polską. Nie chodzi tu oczywiście o nazewnictwo – ono szło za językiem potocznym, ale o pamięć, że tamto państwo nie było wyłączną własnością Polaków. Podejrzewam, że badań tej kwestii nikt jeszcze w nauce polskiej nie podejmował, a warto byłoby to uczynić u nas, nie zostawiając tego nietatwego tematu współczesnej polityce historycznej litewskiej, białoruskiej, ukraińskiej, a nade wszystko – rosyjskiej...

Wszędzie podkreślano, że ojczyzna zawsze była jedna, zarówno w krytykach jej dawnego ustroju i ładu kulturowego, jak i w sporach nad narodowym rachunkiem sumienia. Pojawiały się jednak – i to dla nas ważne – odrębne wątki, odnoszące się do wschodnich regionów państwa. Dotyczyły one różnych spraw szczegółowych, ale w sumie malowały tym ziemiom i ich mieszkańcom dwa obrazy kontrastowe: bądź prześmiewczo-krytyczny, bądź przesadnie uwznioślony. Ten pierwszy skupiał się na młodszości kulturowej i słabości cywilizacyjnej tamtejszych ludów w porównaniu z europejskim, z dawną po katolicku schryścianizowanym i lśniącym zachodnią ogładą, etnicznym Polakiem. Tak konstruowane były popularne stereotypy ciemnego Poleszuka, pogańskiego Żmudzina czy ukraińskiego hajdamaki.

Obraz drugi sięgał do historii dawnej i przypominał dzieje ustawicznych napadów tatarskich i trudnego życia na przedmurzu chrześcijaństwa. Rzecz nie była tu całkiem jasna, bo do szczytnej tradycji przedmurza starali się przypisywać także i mieszkańcy Polski centralnej, nie ulegało jednak żadnej wątpliwości, że to rzeczywiste doświadczenie było stukrotnie prawdziwszą sprawą przede wszystkim Podola, potem Wołynia, Polesia, w mniejszej mierze Nowogródziny, a już w znikomym stopniu etnicznej Litwy. Małopolska mogła tu wspominać bodaj trzynastowieczne najazdy Mongołów. Tatarzy byli przekleństwem ludów żyjących na południe od Karpat, a na wschodzie – całej południowej Rusi. Wielkie Księstwo Litewskie swoje najtrudniejsze chwile przeżywało

niedługo później, gdy od końca XV w. na jego ziemi najeżdżać zaczęła Moskwa. Po przedmurzu chrześcijaństwa nastąpił przedmurz katolicyzmu i – Europy. Odwoływanie się do obu tych doświadczeń – napaści tatarskich czy moskiewskich – działało podobnie, pozwalało mówić o bohaterstwie i cierpieniach, o wierności wierze i własnej tożsamości, oczywiście związanej z Polską i z Europą – i bardzo uwznioślało obraz. A kiedy europejski romantyzm nauczył zachwycać się wolnym od cywilizacyjnej upręży ludem i jednocześnie z podziwem spoglądać na Orient, tradycje wschodnich regionów zyskały nowe i ważne, bo przez *Zachód* uznane walory.

Wypadnie więc zauważyć, że już przy pierwszym pytaniu polskiej dziewiętnastowiecznej myśli politycznej, dotyczącym czasów minionej wspólnej świetności i dramatu jej utraty, pojawia się zastanawiająca różnica między etnicznymi Polakami, a wywodzącymi się z innych korzeni mieszkańcami i obywatelami Rzeczypospolitej. Nie jesteśmy jednorodni – i nie jesteśmy jednacy. Zróżnicowanie to można ujmować na kilka sposobów: bądź widząc tylko te dwie zasadnicze kategorie, bądź też przyglądając się uważniej owym korzeniom odmiennym, śledzić głębsze odrębności różnych gleb i kultur. Nasz temat skłania do wyboru tej drugiej ścieżki: inaczej narastała w XIX w. problematyka dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego z jego coraz wyraźniej rysującymi się narodami litewskim i białoruskim, a także z sąsiednimi lotewskimi Łatgalami z byłych Infantów Polskich, a zupełnie inne okazywały się dzieje tożsamości ukraińskiej, radykalnie podzielonej zaborową granicą na terytoria rosyjskie i austriackie.

Nieco głębsze zastanowienie się nad tą ostatnią kwestią prowadzi jednak do zasadniczego pytania: czy w ogóle możliwe jest traktowanie polskiej XIX-wiecznej myśli politycznej, dotyczącej dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego z jednej, a ziem ukraińskich z drugiej strony – jako dwóch elementów tego samego szerszego tematu: dziejów polskiego stosunku do sprawy narodów Europy Wschodniej? Takie uogólniające ten problem ujęcie wydaje się naturalne i właściwe z współczesnej perspektywy XXI w. Chcemy mówić jednym tchem o zagadnieniach losu i dążeń naszych sąsiadów w całym pasie od Tallina do Krymu. Wkraczając jednak w analizę historyczną i w relacje między tymi różnymi podmiotami w kolejnych epokach, musimy porzucić to *prezentystyczne* uogólnienie całej sprawy i ujmować jej fragmenty tak, jak musiały się one rysować w opisywanych przez nas czasach. I tu napotykamy dwa obrazy zupełnie odrębne – nie da się ich namalować na jednym płótnie. Wielkie Księstwo Litewskie z Infantami, a więc dzisiejsza Litwa, Białoruś i część Łotwy, stanowi jedną całość historyczną, wielonarodową, wielokulturową, ale połączoną długotrwałym wspólnym losem dziejowym. Ruś Ukrainna, Podole Wschodnie, Wołyń i Małopolska Wschodnia to kilka regionów odrębnych, głęboko zróżnicowanych między sobą, a dziś tworzących wraz z paroma innymi całość



odmienną: naród i państwo Ukrainy. Ta wspólna podmiotowość kilku części, ewidentna dzisiaj, nie mogła być spostrzeżona 115 lat temu. Nie widzieli jej pradziadowie dzisiejszych Ukraińców, jak więc mieli ją zobaczyć ówcześni Polacy?

Wymieńmy pokrótce najwyrazistsze różnice obrazów Wielkiego Księstwa Litewskiego i tego, co właśnie wtedy odrastało z najstarszych, zapomnianych narodowych korzeni ukraińskości. Zacznijmy przy tym od czasów najdawniejszych kontaktów tych ziem z Polakami i polskością.

Litwa Mendoga, a nawet potężna terytorialnie i silna militarnie Litwa Gedymina, kulturalnie wciąż była ziemią dziewiczą. Odrzucająca krzyżackie baptysterium, a od południowo-wschodniej strony ledwo dotknięta chrześcijaństwem wschodnim, pozostawała poza Europą. Pojawiający się tam od końca XIV w. Polacy byli zwiastunami nowej wiary, cywilizacji i przynależności do szerszego świata. Kontakt polski z Rusią Kijowską był czym innym. Jedenastowieczny Kijów był czymś nieporównanie większym, kulturowo bardziej określonym i silniejszym od polskiego Krakowa, czeskiej Pragi czy węgierskiego Ostrzyhomia. Był bizantyjski, więc może nie dość europejski, ale ta jego filiacja brzmiała wtedy bardzo dumnie. Piastowska Polska była wtedy dopiero w chwili po starcie.

Z Wielkim Księstwem natychmiast zawarliśmy unię personalną, potem pogłębianą, wzmacnianą, a po niecałych dwóch wiekach budującą nowatorski na światową skalę gmach Rzeczypospolitej Obojga Narodów. To był duży wspólny projekt polityczny i wspólna realizacja – politycznie dwustuletnia, a kulturowo – co najmniej dwukrotnie dłuższa. W jakiejś pozapolitycznej mierze ta bliskość trwa do dzisiaj – od Białegostoku do białoruskiego Braśławia i litewskiej Wileńszczyzny czy Laudy. Na Ruś Kijowską, czy potem Halicką, przychodziliśmy inaczej. Tak, tu też nieśliśmy europejską cywilizację, zachodnią wiarę i kulturę europejskiej *christianitatis*. Nie pytaliśmy, czy są one upragnione, czy wstrętne. A tutaj na pewno były obce już wcześniej utrwalonym obyczajom prawosławnego ludu, warunkom ciągłego lęku przed Tatarem i doświadczeniu życia podporządkowanego *prawu szabli*. Nie proponowaliśmy unii, narzucaliśmy swoje prawa, a wolnego osadnika, broniącego swej ziemi i wolności przed Tatarem, chcieliśmy poddać państwu. Kozak uczył się, że Lach go gnębi. Gnębił nie zawsze, ale zawsze pozostawał obcy. Socjalnie, kulturowo, religijnie.

Ten ostatni взгляд zasługuje na moment refleksji. Niezmiernie ważnym wydarzeniem w tym wymiarze stała się unia brzeska i zaistniały w jej wyniku Kościół greckokatolicki. Dyskusja na temat politycznych motywów, uwarunkowań i historycznych następstw unii brzeskiej jest w dawnej historiografii polskiej bardzo szeroka i żywa. Jeden wątek tej tematyki jest jednak bardzo rzadko podejmowany, dla nas tu natomiast może okazać się ciekawy. Dzieje grekokatolicyzmu na Białorusi i na Ukrainie potoczyły się inaczej. Na Białorusi okazał się

drogą zaakceptowaną przez ogromną, blisko 80-procentową większość dotychczasowych wiernych Cerkwi prawosławnej. Ta proporcja wyznaniowa utrzymywała się aż do momentu odgórnej likwidacji Kościoła unickiego w 1839 r. Na Ukrainie unia została gwałtownie – i oddolnie! – odrzucona, a obrona rodzimego prawosławia stała się w połowie XVII w. główną treścią ideową wojny Chmielnickiego z Lachami. Sądzę, że ta geograficzna różnica zbiorowej reakcji na unię brzeską ma wiele wspólnego z generalnym stosunkiem obu populacji do wszystkiego, co w powszechnym pojęciu wiązało się z wpływami polskimi. Białoruś była uczestnikiem wspólnej podmiotowości politycznej. Dla Ukrainy oznaczaliśmy niebezpieczną obcość.

Politycznym dowodem siły tego nastawienia stała się zawarta w 1654 r. przez Chmielnickiego ugoda perejaśławska – wezwanie Rosji na pomoc w walce z Rzeczpospolitą.

Wybór tej drogi okazał się dziejowym dramatem dla Rusinów, dla Polaków i dla wszystkich pozostałych narodów żyjących w pobliżu zachodnich granic Rosji. Dopiero on powiązał też Polakom kwestię rusińską z frontem wschodnim i ze starszym o 200 lat konfliktem: Polska – Rosja. Dotąd lokowała się ona gdzie indziej: między Polską a Tatarami i turecką Portą. Też na przedmurzu, ale innym, wcześniejszym i raczej południowym, wspólnym z Węgrami, Mołdawianami i narodami bałkańskimi. Sądzę, że warto o tym pamiętać i dziś, patrząc na Ukrainę z perspektywy warszawskiej – i brukselskiej. Można ten kraj zaliczać do Europy Wschodniej, ale można też i do Południowej albo – umownie – do Czarnomorskiej...

Wyznaczenie granicy zaborów rosyjskiego i austriackiego w momencie pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej w 1772 r. było też swoistym rozbiorem kraju Rusinów. Większość terytoriów zagarniała Rosja. Austrii przypadła tylko Małopolska Wschodnia i zachodnia część Podola, kraj najsilniej spolonizowany i zeuropeizowany. Ten podział odegrał w dziejach rusińskich – ukraińskich rolę zupełnie zasadniczą: sprawił, że narodowa tożsamość ukraińska musiała się narodzić z dwóch bardzo różnych korzeni – z doświadczenia coraz dotkliwszej niewoli rosyjskiej i z też niełatwego, ale aktywizującego politycznie, uczestnictwa w życiu monarchii habsburskiej, słabej, konserwatywnej, ale bądź co bądź europejskiej. Historia pokazała, że Piemontem ukraińskości stała się właśnie owa rzeczywistość austriacka. Polityczna myśl ukraińska XIX w. rodziła się nie w Rosji, ale w *austriackiej Europie*.

I tak też była traktowana przez Polaków. Rusini byli postrzegani w niej jako niby słabsi, ale jednak coraz widoczniejsi konkurenci Polaków na forum wiedeńskim. Byli więc uczestnikami gry środkowo-, a nie wschodnioeuropejskiej. Ich rodacy z Kijowszczyzny, którą najwcześniej zaczęto nazywać Ukrainą, z podległego carom Podola Wschodniego czy nawet pobliskiego Wołynia, pozostawali

niezauważeni. Tej kwestii po prostu nie było. Jeśli w polskiej myśli politycznej pojawiało się w odniesieniu do carskich poddanych słowo *Rusin*, to zazwyczaj oznaczało ono mieszkańca wschodniego Polesia czy okolic Mozyrza.

Analizując w niniejszym studium XIX-wieczne dzieje polskiego postrzegania spraw narodów wschodnioeuropejskich, idę za tym rozgraniczeniem między rzeczywiście wschodnim dawnym Wielkim Księstwem Litewskim a inaczej od tysiąclecia określoną tożsamością ukraińską, na nowo formułowaną na przełomie XIX i XX w. w środkowoeuropejskich warunkach monarchii Habsburgów. Lwowskie bądź wiedeńskie spory polityczne i parlamentarne wyraźnie wykraczają poza podjęty tutaj temat.

Wielki temat polityczny XIX-wiecznych Polaków zawierał się w pytaniu, jak można i należy teraz walczyć o przywrócenie Polsce niepodległego bytu państwowego. Na kartach papieru pojawiał się on wielokrotnie, ale nie był tylko kwestią rozważań teoretycznych: częściej, powszechniej i dobitniej wyrażał się w indywidualnych i środowiskowych decyzjach – iść do kolejnego powstania, czy pozostać w domu? Wybór i tym razem zakorzeniony był w tradycji sięgającej czasów dawnej trudnej niepodległości. Mickiewiczowski Jankiel w 1811 r. rozpoczyna swą grę od nut konfederacji barskiej, o tym samym piszą później Chodźko i Rzewuski, a Słowacki przypomniał te dzieje w swych dwóch – ciągle w Polsce za mało odczytywanych i wystawianych, a bardzo myślowo ważnych dramatach: w *Księdzu Marku* i w *Śnie srebrnym Salomei*. Bar leży na Podolu, cymbały Jankiela brzmią na dzisiejszym pograniczu Litwy i Białorusi.

Po chwili płynie już z nich *Polonez Trzeciego Maja*. Wraz z nim powraca pamięć znaczącego dla nas dokumentu uzupełniającego trzeciomajową konstytucję. Zwał się *Zaręczenie Wzajemne Obojga Narodów* i stanowił oczekiwane w Wielkim Księstwie Litewskim umocnienie federacyjnego charakteru państwa polsko-litewskiego. Dopiero po nim przytłaczająca większość tamtejszych sejmików powiatowych z entuzjazmem przyjęła uchwaloną w Warszawie konstytucję.

Gra Jankiela niesie jednak po chwili moment bolesny: idzie oczywiście o niepokojący poetę zgrzyt Targowicy. Dla *poprawnej polityki historycznej* dobrze byłoby o nim zapomnieć, opowiadając o myśli polskiej. Narzucają się jednak co najmniej dwa pytania. Pierwsze brzmi: czy Targowica była wyłącznie targiem sprzedawczyków, czy też wypowiedała jakąś myśl polityczną, niewątpliwie sprzeczną z polską racją stanu, topiącą Polskę w otchłani Imperium Rosyjskiego, ale stanowiącą określoną polityczną koncepcję? Drugie, przykrzejsze: czy była to myśl polska? Spójrzmy na listę założycieli wymyślonej w kuluarach Petersburga, ale nazwanej targowicką, konfederacji – to naprawdę nie byli Chińczycy, ani nawet Rosjanie. To byli Polacy, członkowie polskiej społecznej i kulturalnej elity – tak jak polskim szlachcicem z Puszczy Nalibockiej był

znany półtora wieku później Feliks Dzierżyński. Wraca tu kwestia metodologiczna: komu przypisujemy godność wyraziciela myśli polskiej: temu, kto był Polakiem, czy temu, kto sprawy polskiej bronił, a przynajmniej jej nie zdradzał? Możemy umówić się różnie, ale pamiętajmy, by to samo kryterium stosować do Polaków i do wszystkich innych, a zwłaszcza do naszych wrogów. Inaczej okazemy się niewiarygodni. I głupi.

W cztery lata po Targowicy szło przez Polskę powstanie Kościuszki. Tego amerykańskiego generała i polskiego bohatera narodowego pamiętamy zawsze przez przysięgę na krakowskim Rynku, przegapiamy jednak drobiazg, że urodził się na skraju Polesia, z ojca niewątpliwego Polaka i matki – unitki, a więc kulturowo i chyba etnicznie Białorusinki. W unickiej zresztą cerkiewce, nie w łacińskim kościele, zawiesił na pamiątkę swe amerykańskie ordery... A w manifestie spod Połańca zwracał się Kościuszek równocześnie do duchowieństwa katolickiego, unickiego i prawosławnego z wezwaniem do czynnego poparcia działań powstańczych – i rzeczywiście poparcie to okazało się wtedy większe niż przy którymkolwiek późniejszym XIX-wiecznym zrywie na ziemiach Wielkiego Księstwa<sup>2</sup>. Mamy tu więc już drugi czysto polityczny dokument charakteryzujący polską myśl na interesujący nas temat.

Rok później Rzeczpospolita Obojga Narodów przestała politycznie istnieć. Starsze pokolenie działaczy publicznych czasów stanisławowskich znalazło się w szoku: dopiero co dokonany wielki wysiłek odnowy państwa przyszedł zbyt późno i skończył się całkowitą klęską, a nowoczesna oświeceniowa filozofia polityczna uczyła, że tylko państwo jest realnym twórcą, a potem skutecznym obrońcą tożsamości narodowej. Polska więc zginęła, przeszła do historii.

Młodszy nie byli tego pewni – i skupiwszy się na ziemi włoskiej, zaśpiewali, że sądzą inaczej i że jeszcze powalczą dalej. Ciekawy będzie tu szczególnie dotyczący regionów, z których ci zawadiacy przybywali na obczyznę. Statystyką ich miejsc pochodzenia nie dysponuję. Ale ich zwoływaniem na zbiórkę i wysyłką za granicę zajmowała się na dużą skalę Centralizacja Lwowska, a w Wielkim Księstwie – dobrze zorganizowana *Assocjacja Wileńska* ze swymi co najmniej dziesięcioma placówkami terenowymi. Jej dokument programowy jako cel wyznaczał odbudowę Rzeczypospolitej w granicach 1772 r., ale z ustrojem zapowiedzianym przez Konstytucję 3 Maja. Półtoraroczne działanie tego rozpostartego na setki kilometrów stowarzyszenia stanowiło początek antyrosyjskiej konspiracji na ziemiach dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego<sup>3</sup>. Na tym etapie – pronapoleońskiej.

<sup>2</sup> Por. *Uniwersał Połaniecki* (7 maja 1794 r.), szczególnie punkty 13 i 14.

<sup>3</sup> Por. F. Ciecierski (1998): *Znaczniejszych przypadków pewnego z Syberii powrotnego Polaka w 1801 roku...*, Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich; S.V. Taliaronak

Kilkanaście lat później dojrzało wielkie zderzenie bonapartyzmu z caryzmem: Napoleon szykował się do wojny z Rosją. Oczekiwanie jej było zupełnie inne z perspektywy Księstwa Warszawskiego, a zupełnie inne na Litwie. Pisał o tym w Warszawie pochodzący spod Brześcia Julian Ursyn Niemcewicz: jak przyjmą Napoleona mieszkańcy Wilna? Staną jak Mazowszanie za nim i przeciwko całej niemal popierającej Rosję Europie, czy też wybiorą posłuszeństwo carowi? Przyzwyczajeni dziś jesteśmy do malowanego po latach, jednoznacznie pronapoleońskiego obrazu Litwy z *Pana Tadeusza*, ale w 1812 r. pytanie Niemcewicza było zasadne. Pisane z tej co *Pan Tadeusz* perspektywy czasowej *Wspomnienia kwestarza* Ignacego Chodźki też w relacjach z tamtego roku pokazują reakcje różne.

Odchodząc od literackich fikcji ku rzeczywistym czynom politycznym, trzeba w tym miejscu przypomnieć działania i idee Adama Jerzego Czartoryskiego z długiego okresu 1801–1823. Był najpierw osobistym przyjacielem, potem ważnym doradcą i do roku 1806 współtwórcą polityki zagranicznej cara Aleksandra I. Nakłaniał go do odbudowy państwa polskiego, zanim uczyni to zwyciężający Prusaków Bonaparte. Namowy okazują się nieskuteczne, Czartoryski traci stanowisko i wpływy. Po kilku latach przerwy w kontaktach z monarchą odzyskuje pozycję w 1814 r. i na kongresie wiedeńskim doprowadza do powstania Królestwa Polskiego, zależnego oczywiście od Rosji, ale mającego, zwłaszcza z początku, znaczny margines liberalnych swobód ustrojowych. W latach 1816–1823 jest głównym konstruktorem nowego systemu oświaty na całym terenie ośmiu guberni zachodnich, włączonych do cesarstwa rosyjskiego po upadku Rzeczypospolitej w 1795 r. Uruchamia przez to wielką kuźnię liberalnej inteligencji na ziemiach, gdzie całą warstwę oświeconą i uczącą się stanowią Polacy bądź ci, którzy do polskiej kultury aspirują. Skala tego przedsięwzięcia jest taka, że na czas co najmniej jednego pokolenia stolicą polskiej kultury nie są już Kraków czy Warszawa, ale właśnie Wilno.

Działalność ta – i ożywiająca ją idea wiązania sprawy polskiej z Rosją, która musi się przecież zliberalizować – urywa się nagle na przełomie lat 1823/1824. Rosja liberalizować się nie chce – i nie potrafi. Na miejscu Czartoryskiego pojawia się Nowosilcow. Piękny mit przyszłościowy pryska. Za dekadę Wilno nie będzie miało uniwersytetu, a Czartoryski – jako zaocznie skazany w Rosji na śmierć emigrant polityczny – będzie dla inaczej już rozumianej sprawy polskiej przez kolejne 28 lat – aż do śmierci – budował antyrosyjską politykę w Europie. W swych działaniach i myślach Czartoryski był na wszystkich etapach

---

(1997): Vilenskaja Asacyjacja, w: *Belarуска Encykłapedya*, t. 4, Minsk, s. 163. Na ten temat nieco szerzej: B. Cywiński (2013): *Szańce kultur. Szkice z dziejów narodów Europy Wschodniej*, Centrum Europejskie Natolin i Wydawnictwo Trio, Warszawa, s. 207–208.



uderzająco samodzielny, ale nie był sam: w pobliżu niego pojawiali się inni, podobnie oceniający szanse sprawy polskiej w wirze czasów napoleońskich i w następnym dziesięcioleciu 1814–1824. Car Aleksander I wydawał się wtedy bronić Europy przed *korsykańskim uzurpatorem*, potem umiał go pokonać, na kongresie wiedeńskim przywracał przynajmniej namiastkę państwowości polskiej, a w guberniach zachodnich cesarstwa długo pozwalał otwarciu polonizować kulturę i oświatę. Był więc do lat 20. XIX w. przekonywający dla wielu ludzi z tamtych regionów. Tak wyrastała w dawnym Wielkim Księstwie Litewskim nowa koncepcja polityczna: wynegocjować od cara lub orężem zdobyć dla ziem przyłączonych do cesarstwa ten poziom swobód, jaki aktualnie panował nad Wisłą. Ten cel przyświecał wileńskim ugodowcom, był przedmiotem pragnień elit intelektualnych i podtekstem utworów literackich, lecz także pobudzał potem najodważniejszych insurgentów do działań zbrojnych w kolejnych powstaniach i kolejnych konspiracjach aż po schyłek 1863 r. Pragnienie było jedno: *móc żyć po polsku*. Oglądana z wileńskiej perspektywy coraz mniej swobodna Kongresówka wciąż funkcjonowała jako przykład tego, co można osiągnąć nawet pod carskim panowaniem.

Świadomość różnic sytuacji politycznej między Kongresówką a Wielkim Księstwem Litewskim uderzała najmocniej w litewskich Polaków. Stwierdzali, że są kimś innym od swych kuzynów nie tylko z *europiejskiej* Warszawy, lecz także ze zwykłego Mazowsza czy Kielecczyny. Musieli żyć w warunkach trudniejszych dla zachowania swej polskości, ale też długotrwałość tego stanu powodowała zmiany w nich samych, w ich zachowaniach, reakcjach i w pojmowaniu własnego *my*. Odmienność Polaka z Litwy od *koroniarza* dalece przekraczała poziom osobliwości tutejszej polszczyzny czy lokalnych obyczajów. Stopniowo stawała się poczuciem specyficznej tożsamości narodowej: *Polak, ale Litwin, więc Polak szczególnie*. To właśnie tkwi w najśłynniejszym – i dla niektórych niepokojącym – okrzyku Mickiewicza. Myślę, że bez zwrócenia uwagi na tę cechę Polaków z Wielkiego Księstwa nie da się zrozumieć istoty historycznego dramatu XX w. na tamtych ziemiach.

## Z rodzimego folkloru rosną narodowe literatury

W wieku XIX polskość była drogą do uczestnictwa w wolności. Ale w drogę tę wyruszano z różnych miejsc Wielkiego Księstwa – od Żmudzi czy pogranicza Inflant po Witebszczyznę, Mińszczyznę czy Polesie. Była daleka nie tylko politycznie, ale i kulturowo. Żeby ten dystans ocenić, trzeba było przeniknąć poza barierę kultury pisanej, usłyszeć języki zróżnicowanego etnicznie, kulturowo i wyznaniowo ludu, pomodlić się z nim w jego świątyniach i wejść w rozmaitość

jego folkloru. Właśnie w tym pozornie odległym od myśli politycznej wymiarze działań dokonano w stuleciu 1815–1915 bardzo wiele dla polskośći, ale znacznie więcej zrobiono dla wzrostu i umocnienia odrębnej narodowej tożsamości Litwinów, później Białorusinów, a nawet odległych inflanckich Łatgali. Było to dziełem paru pokoleń narodowych budzicieli i postępujących za nimi coraz liczniejszych społeczników oświatowych. Wysiłki w tej dziedzinie były działaniem świadomie skierowanym przeciwko szeroko zakrojonej rusyfikacji ludności guberni zachodnich cesarstwa. Rusyfikacja ta, początkowo słaba i nieudolna, najwcześniej podjęta i najbardziej konsekwentnie prowadzona przez Cerkiew prawosławną, począwszy od lat 50. XIX wieku nabrała silnego impetu działań państwowych. Poszły one równocześnie w dwóch kierunkach: tworzenia sieci rusyfikujących młodzież szkół ludowych i jednoczesnych zakazów druku w językach narodów zniewolonych. Typowe dla carskiej polityki represje sięgające całego życia kulturalnego uzupełniały całą tę akcję, narastającą wciąż do końca lat 80., a w stopniowo słabnących formach prowadzoną aż do 1905 r. i nawet dłużej. W tej sytuacji politycznej każde samodzielne działanie kulturalne w Wielkim Księstwie – zarówno szerzące polskość, jak i budujące kulturę litewską czy białoruską – było akcją antypaństwową, politycznie niebezpieczną, a najczęściej wprost nielegalną i ściganą policyjnie. Prześladowanie było tu normą i choćby przez to wieloraka językowo, ale w każdym wypadku rodzima, kultura była pojmowana jako pole walki z niewolą.

Pierwsi operujący piórem wyraziciele folkloru litewskiego czy białoruskiego byli oczywiście w pełni zakorzenieni w literaturze polskiej. O litewskim, białoruskim czy łatgalskim ludzie pisali zresztą najpierw tylko po polsku, potem – w miarę pojawiania się literackich form tych języków dotąd niemal wyłącznie mówionych – podejmowali twórczość dwujęzyczną, by wreszcie w pełni przejść do literatur nowo powstających, zresztą – jak wspomnieliśmy – do 1904 r. pozbawionych możliwości legalnego druku w granicach władzy carów. Niektóre pierwodruki poetów białoruskich ukazywały się na przykład w Krakowie czy w Poznaniu... A idących tymi drogami autorów było wielu.

Szlak odkrywania języka, kultury i przedchrześcijańskiej tożsamości litewskiej był już nieco przetarty przez Niemców, gdy wkroczyli na niego Polacy. W 1802 r. o litewskich dainach opowiadał w warszawskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk wielki Wołynianin z Porycka – Tadeusz Czacki, w 1808 r. pisał o nich pochodzący z dopiero co spolszczonej szlachty pruskiej warszawiak (!) Joachim Lelewel. Potem tematyka dziejów szeroko rozumianej kultury litewskiej rozwinęła się już na swej ziemi rodzimej – najszybciej na Żmudzi – pod piórami intelektualistów i pisarzy, których nazwiska inaczej zapisują dziś Polacy i Litwini. Do najczęściej wspominanych autorów z pierwszej połowy XIX w. należą tu – według przybliżonej chronologii powstawania głównych dzieł – Dionizy Paszkiewicz

(Dionizas Poszka), Szymon Staniewicz, Antoni Edward Odyniec, Ludwik Adam Jucewicz, Teodor Narbutt, Szymon Dowkont (Simonas Daukantas), Józef Ignacy Kraszewski, Wawrzyniec Iwiński i Maciej Wołonczewski (Motiejus Valancius, późniejszy biskup kowieński i inicjator wielkiej akcji konspiracyjnego przenoszenia na Litwę drukowanych w pruskim Królewcu litewskich ksiązek). Zdziawiający XIX-wieczny odrodzenie litewskiej tożsamości narodowej dokonało się nie poprzez fakty realnej polityki, ani nawet nie przez dorobek precyzyjnej politycznej myśli, ale przez literackie przypominanie na wpół baśniowej historii i przez jej odważną, bo konspiracyjną, popularyzację.

Literackie więzi polsko-białoruskie wyrastały z tego samego duchowego korzenia – poczucia wspólnoty ukształtowanej w czasach Rzeczypospolitej Obojga Narodów, ale rozwijały się inaczej i przybierały kształty inne niż miało to miejsc na styku kultur polskiej i żmudzko-litewskiej. Pierwszym impulsem stało się dzieło *O Słowiańszczyźnie przed chrześcijaństwem*, opublikowane przez Adama Czarnockiego pod pseudonimem Zorian Dołęga-Chodakowski. Dawne dzieje Słowian interesowały historyków, etnografów i pisarzy polskich wcześniej, uwagi na te tematy znaleźć można u Adama Naruszewicza, Józefa Maximiliana Ossolińskiego czy Jana Potockiego, ale rozgłos zdobyła i wpływ na zbiorową wyobraźnię uzyskała dopiero książka Zoriana Dołęgi-Chodakowskiego, stawiająca śmiałą tezę, że pierwotna kultura słowiańska zginęła na tych ziemiach wkrótce po przełomie wieków X i XI, starannie wytępiona przez wprowadzane sukcesywnie chrześcijaństwo<sup>4</sup>. Chodakowski, sam pochodzący z Hajny pod Nieświeżem, zanim napisał swoje dzieło, w ciągu czterech lat odbywał badawcze wędrówki po wsiach kilku krajów słowiańskich, przy czym ojczyste ziemie dzisiejszej Białorusi były terenem obserwacji najbliższych. Jego fascynacja tutejszym ludem oddziaływała wyraźnie na młodego Mickiewicza, który ze swej strony

---

<sup>4</sup> Odezwu na te wcześniej powstające prace być nie mogło. Jan Potocki zawarł swe uwagi w studium wydanym w Warszawie w 1793 r., ale zatytułowanym *Chroniques, memoires et recherches pour servir a l'histoire de tous les peuples slaves*. Oświeceniowa Warszawa była wprawdzie sfrancuziała, ale nie aż tak, by o historii Rusinów czytać książki po francusku... Adam Naruszewicz, autor sześciotomowej *Historii narodu polskiego od początku chrześcijaństwa*, wydał w tymże czasie jej tomy 2–6. Nieukończony pierwszy, traktujący o Słowianach sprzed chrztu Polski, pozostawił na potem. Ukazał się on dopiero po śmierci autora, wydany staraniem warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w roku 1824, czyli sześć lat po książce Dołęgi-Chodakowskiego. Jeszcze później wyszły *Początki Słowian* Józefa Maximiliana Ossolińskiego. Częściowo opublikował je z rękopisów autora Zakład Naukowy im. Ossolińskich w rocznikach z lat 1831–1833, reszta pozostaje w rękopisach Ossolineum bodaj do dziś (sygn. 10, 91–1093/I, 1097/I, 1287–1290/I i 12706–12711/I).

wyczarował tutejszej kulturze duchowej trwałą i skłaniającą do wielu refleksji pomnik, jakim jest odległy od wszelkiej wyznaniowej ortodoksji, ale zanurzony w ludowo białoruskiej religijności, tajemniczy obrzęd dziadów.

Najwyrazistszy szczyt poetycki pojawił się więc już na początku tej polskiej drogi przez białoruską kulturę, później podobnych już znaleźć nie można, ale prąd zainteresowań, uczuć i dzieł literackich płynął dalej. W 1837 r. zaczynają pojawiać się drukiem *Piosnki wieśniacze znad Niemna i Dźwiny, niektóre przysłowia i idiotyzmy w mowie sławiano-krewickiej z postrzeżeniami nad nią uczynionymi*. Było to w sumie siedem kolejnych tomików pieśni, zbieranych i ogłaszanych przez dawnego filomatę, później zesłańca, a wreszcie bibliotekarza w słynnym pałacu Chreptowiczów w Szczorsach Jana Czeczota. W trzy lata później Jan Barszczewski, autor utworów pisanych już w obu językach, zakłada w Petersburgu polskojęzyczne i w gruncie rzeczy polskie, ale skoncentrowane na sprawach kultury ludu białoruskiego, czasopismo *Niezabudka*. W ciągu czterech lat działania tego periodyku skupia on białoruskich inteligentów, żyjących w carskiej stolicy. W latach 1844–1846 ukazuje się główne dzieło Barszczewskiego – *Szlachcic Zawalnia czyli Białoruś w fantastycznych opowiadaniach*, stanowiące najpełniejszy przykład specyficznego, zbląkanego w zaświatach romantyzmu białoruskiego.

Dekada następną przynosi dwujęzyczną poezję Władysława Syrokomli i wieloraką twórczość Wincentego Dunin-Marcinkiewicza, piszącego początkowo po polsku, ale z czasem zdecydowanie wybierającego język białoruski. Twórczość Marcinkiewicza i jego aktywność kulturalno-oświatowa w Mińszczyźnie stanowi w całym procesie wpływu literackiej kultury polskiej na białoruską pewien punkt zwrotny: o ile dotąd można było mówić o ścisłej zależności tutejszych twórców od polskiej inspiracji duchowej i wzorców pisarskich, o tyle od końca lat 50. są to już odrębne drogi dwóch literatur narodowych. Tyle tylko, że ta szukająca dopiero swego wyrazu, młodziutka literatura białoruska na samym wstępie zostaje pozbawiona prawa do swobodnego istnienia: już w 1859 r. carska władza wydaje zakaz druku wszelkich tekstów w języku białoruskim. Tego języka – i tego narodu – ma nie być. W efekcie pierwodruki utworów białoruskich poetów następnego pokolenia – Franciszka Bohuszevicza, Jana Niesłuchowskiego, znanego w literaturze jako Janko Łuczyna, czy młodszego od nich Adama Hurynowicza – ukażą się w latach 90. w... Krakowie i Poznaniu. Ten szczegół wydawniczy może też coś mówić o XIX-wiecznym polskim spojrzeniu na kultury rozwijających się narodów Europy Wschodniej i na ich opór przeciwko narzucanej im rusyfikacji.

Do przedstawionych tu w zarysie dwóch ważnych procesów udziału polskich twórców w rozwoju i promocji XIX-wiecznych literatur: litewskiej i białoruskiej warto dodać przypomnienie podjętej przez Polaków o pokolenie później

prezentacji kultury łotewskiej i łatgalskiej, zwłaszcza wyrosłej z folkloru dawnych Inflant Polskich. Pierwszym dokonaniem w tej dziedzinie stało się dziwne, wychodzące w latach 40. w postaci kolejnych potężnych roczników, czasopismo *Rubon*. Ukazywało się w Wilnie, ale redagował je inflancki ziemianin Kazimierz Bujnicki, a pismo z założenia skupione było na kulturze i tożsamości narodowej *kraju nad Dźwiną*, jak głosiło wyjściowe przesłanie jego wydawców. W swych kolejnych rocznikach *Rubon* przynosił poważne studia dotyczące dziejów łotewskich, prezentował folklor Łatgalii i pobliskiej północno-wschodniej Białorusi i oczywiście opowiadał dzieje tutejszej katolickiej i mocno spolonizowanej kultury, odrębnej od luterańskiego i rozwiniętego w niemieckim kontekście nurtu kulturowego zachodniej Łotwy. Mimo skrajnie trudnych warunków cenzuralnych i wydawniczych inicjatywa *Rubonu* przetrwała dziewięć lat<sup>5</sup>.

Następne wielkie polskie dokonania na tym terenie wiążą się przede wszystkim z postacią barona Gustawa Manteuffla, pochodzącego z rodu niemieckiego, ale w XIX w. już zdecydowanie spolonizowanego. Prawnik i muzykolog, urodzony i żyjący w dawnych Inflantach Polskich, skupił swe zainteresowania na dziejach kultury łatgalskiej, pisząc o niej po niemiecku i po polsku, a także publikując w swobodniejszej kulturowo Rydze i przerzucając do Inflant łatgalskie książeczki *dla ludu*: elementarze, słowniki, modlitewniki i poradniki praktyczne. Duży rozmiar tej działalności nadawał jej sens zarówno oświatowy, jak i polityczny, uczący przeciwstawiania się rusyfikacyjnym działaniom władzy.

Kulturotwórcza pomoc Litwinom, Białorusinom i Łotyszom ze strony polskich pisarzy, naukowców i działaczy oświatowych nie była oczywiście wynikiem jakiegokolwiek szeroko podjętej akcji zbiorowej czy rezultatem określonej propagandy ideologicznej. Składały się na nią indywidualne decyzje poszczególnych osób, podejmowane w konkretnych sytuacjach środowiskowych i lokalnych i zrodzone ze świadomości wspólnego losu ludów zniewolonych przez tego samego wroga. Mówiąc brutalnie – ludzi tych łączyła ta sama wewnętrzna niezgoda na wszechwładzę Rosji. To wystarczyło.

Dobrze jest w tych właśnie kontekstach prowincjonalnego i ciasnego, ale równocześnie wielokulturowego, światka guberni grodzieńskiej spojrzeć czasem na twórczość tamtejszej pisarki Jelizavjety Arieszka. Trwająca już od blisko półtora wieku literacka sława, potem wprost lokalny kult talentu Orzeszkowej nie da się wyjaśnić w kategoriach sympatii kulturalnych białorusko-polskich. Wielka polska pozytywistka jest dla różnojęzycznych grodnian pisarką tutejszą,

---

<sup>5</sup> Szerzej o rocznikach *Rubonu* i zawartych tam tekstach o tematyce białoruskiej, łotewskiej i łatgalskiej w: B. Cywiński (2017): *Tożsamość, która wymaga wysiłku. O Łatgalii i Łatgalach*, Centrum Europejskie Natolin, Warszawa. Zob. rozdział IV: *W nurtach „Rubonu”*, s. 118–149.



najgłębiej *naszą*, wyrazicielką wspólnej wszystkim mieszkańcom tradycji i tożsamości. Na kartach jej książek pojawiają się posesjonaci więksi i mniejsi, niebogata nadniemeńska szlachta dworska i zaściankowa, katolicycy i prawosławni chłopcy, ludność niewielkich miasteczek, szukająca swej tożsamości w cerkwiach, kościołach i – pewnie najczęściej – w synagogach i bożnicach. Autorka rysuje swoje postaci wyraziście, z wycuciem różnic i kontrastów, ale bez używania nazw etnicznych: przy wszystkich swych odmiennościach są dla niej wszyscy uczestnikami jednej – nie nazwanej *expressis verbis* – duchowej wspólnoty. Zjawisko to zasługuje chyba na chwilę zadumy.

Polska *pomoc pisarska* trwała, dopóki była potrzebna. W drugiej połowie stulecia od polskich inspiracji uniezależnili się najpierw Litwini, nieco później Białorusini, a na przełomie wieków własnym głosem zaczęli odzywać się także Łatgale. Kiedy w 1904 r. odwołane zostały zakazy druku w tych trzech językach, szeroka opinia publiczna przekonała się o istnieniu znaczącej współczesnej literatury litewskiej i białoruskiej i o wychodzących na światło dzienne utworach łatgalskich. W przypadkach białoruskim i łatgalskim zjawisko to powitane było w Polsce z pewnym zaciekawieniem i sympatią.

Inaczej potoczyły się relacje kulturowe polsko-litewskie. Przebudzenie kultury litewskiej, długo uspięonej polonizacją tutejszych elit społecznych w wiekach wcześniejszych, a w XIX stuleciu oficjalnie zahamowanej w rozwoju przez nakazaną rusyfikację Litwy, następowało pod powierzchnią życia publicznego i początkowo – jak mówiliśmy – przy znacznym udziale litewskich Polaków.

Wydarzeniem przełomowym stało się jednak powstanie jednego, a potem kilku litewskich czasopism poza zasięgiem carskiej władzy – na tzw. Litwie pruskiej. Miało to miejsce w roku 1883<sup>6</sup>. Przenoszona odważnie nielegalna prasa i towarzyszące jej inne druki dokonały przełomu w myśleniu nowo formującej się inteligencji litewskiej. Odrodzeniu narodowej tożsamości Litwinów zagraża nie tylko ich przymusowa rusyfikacja, ale tradycyjnie łagodna, łudząca europejskością i przez to znacznie od rusyfikacji groźniejsza polonizacja. Duchowej samodzielności Litwina przeszkadza nie tyle brutalny Rosjanin, ile fałszywie uśmiechnięty i niby przyjazny Polak, który wykorzystując swą przewagę socjalną ziemianina nad chłopem, chce w dalszym ciągu dominować nad kulturą litewską i upodabniać ją do polskiej. Ta teza, obecna w nowej odrodzieńczej ideologii narodowej Litwinów, była zaskakująca dla ogółu litewskich Polaków, od stuleci przekonanych, że właśnie katolicycy i najbliżsi zachodnim wzorcom kulturowym Litwini są i pozostaną najgorętszymi zwolennikami bliskości z Pol-

<sup>6</sup> Były to kolejno miesięczniki *Aušra* [jutrzeńka] (1883–1886), *Varpas* [dzwon] (1889–1905), *Žemaitos ir Lietuvos apžvalga* [Przegląd żmudzki i litewski] (1890–1896), *Ūkininkas* [rolnik, gospodarz] (1890–1905).

ską, zarówno w wymiarze kulturowym, jak i politycznym. Niedawny żywiołowo aktywny udział Litwinów w powstaniu styczniowym dowodził właśnie tego. Zrodzona w litewskim myśleniu niechęć wobec polskości wydawała się w Wilnie i na zupełnie spolonizowanej Wileńszczyźnie najpierw niepoważnym dziwactwem, potem budziła coraz silniejsze emocje negatywne.

### Po jakimu będziemy się modlić?

Przed 1905 r. nie było oczywiście możliwości dyskusowania o sprawach politycznych na forum publicznym. Napięcia emocjonalne wyrażały się w kontaktach międzyrodowiskowych, półprywatnych i były tam po obu stronach wyrażane ostro. Płaszczyzną swoście publiczną konfliktu narodowościowego stał się natomiast Kościół katolicki, gdzie Polacy i Litwini spotykali się co niedziela i z założenia mieli stanowić jedną zgodną zbiorowość. W ostatnich latach XIX w. w wielu parafiach okazało się to trudne, a czasem wprost niemożliwe. Szło o język duszpasterstwa, kazań, katechezy i śpiewanych pieśni. W punkcie wyjścia – poza strefą kanonicznie zastrzeżoną dla łaciny – wszędzie dominował powszechnie znany język polski, pojawiły się jednak wkrótce żądania częściowej albo i całkowitej lituanizacji duszpasterstwa. Ruch miał charakter oddolny, wychodził od świeckich, był jednak wspierany przez młodych księży wikarych – wbrew zaleceniom konserwatywnych proboszczów. Oznaczało to głęboką dezintegrację lokalnych wspólnot religijnych i konflikty w obrębie samego kleru. Wymagało więc zajmowania stanowiska przez wyższych przełożonych, w tym oczywiście przez biskupów – wileńskiego i kowieńskiego, których głos za każdym razem przykuwał uwagę elit kulturalnych obu diecezji.

Wypowiedzi biskupów z reguły były nawoływaniem do zgody obu grup narodowościowych, ale akcenty były stawiane różnie. Różne były także polityki personalne w diecezjach, toteż w komentarzach każdorazowo krytykowano hierarchów z jednej lub z drugiej strony: biskup okazywał się bądź *polonizatorem*, bądź *litwomaniem*, a czasem jednym i drugim na przemian. Napięcia polsko-litewskie ujawniły się najwcześniej w diecezji sejneńskiej, obejmującej wówczas między innymi terytorium północnej Suwalszczyzny. Region ten, zamieszkały głównie przez Litwinów, stał się pierwszym ogniskiem ich narodowego odrodzenia. Walka o język litewski w duszpasterstwie ujawniła się tam w roku 1897, gdy rządy w diecezji objął biskup Antanas Baranauskas, poeta i zamiłowany badacz litewskiego folkloru. Mimo protestów tamtejszych Polaków otworzył on językowi litewskiemu drogę do kościołów. Była to pierwsza jaskółka nowych czasów. Później problem ten objawił się w diecezji kowieńskiej, a wreszcie i na Wileńszczyźnie, gdzie jednak sytuacja była inna: Polacy stanowili w tamtejszych kościołach absolutną większość. Mimo to

Litwini, zachęteni powodzeniem na innych terenach kościelnych, tu także domagali się lituanizacji duszpasterstwa. Problem narastał.

Działania dwóch postaci zasługują tutaj na szczególną uwagę. Pierwszą z nich był biskup Edward Ropp, z pochodzenia kurlandzki baron, którego rodzina spolonizowała się kulturowo zaledwie o pokolenie wcześniej. Z wykształcenia prawnik, do seminarium duchownego wstąpił po kilku latach pracy zawodowej w Petersburgu. W 1902 r. został biskupem w Saratowie nad Wołgą, ale już w 1904 objął ogromną wtedy diecezję wileńską. Rządził nią przez trzy wyjątkowo trudne lata 1904–1907, po czym został przez władzę carską wygnany z diecezji za polityczną nieprawomyślność.

Przed przybyciem biskupa Roppa do Wilna nabrzmiały kwestie narodowościowe nie były ostrzej podejmowane przez jego poprzedników. Oznaczało to całkowitą dominację języka polskiego w praktyce duszpasterskiej i bierność wobec awantur w parafiach. Nowy biskup od razu wprowadził zmiany w obsadzie proboszczowskiej, nakazał wprowadzenie kazań i śpiewów litewskich bądź białoruskich w części odprawianych nabożeństw, w zależności od potrzeb lokalnych. Wywołało to oczywiście protesty Polaków i równoczesny wzrost żądań językowych ze strony litewskiej. W 1906 r. biskup wydał w tej sprawie słynny list pasterski, deklarując, że zgodnie ze swym uniwersalnym z założenia posłannictwem nie może opowiadać się po stronie żadnej narodowości i będzie dbać tylko o to, by każda grupa wiernych mogła swobodnie modlić się we własnym języku w miejscowej świątyni. Wystąpienie to przyniosło nań ataki zarówno ze strony działaczy polskiej Narodowej Demokracji, jak i narodowców litewskich, a w następnym roku zostało użyte jako jeden z pretekstów do wyrzucenia go z diecezji przez władze rosyjskie. Stało się jednak także szeroko uznanym przykładem wzorowej postawy chrześcijańskiego hierarchy. Linię wyznaczoną przez biskupa Roppa starał się kontynuować kierujący po nim diecezją administrator apostolski, ksiądz Kazimierz Michalkiewicz, również spotykający się z trudnościami ze strony coraz energiczniej występującego kleru litewskiego.

Drugą wybitną postać kościelną tamtej epoki to Jerzy Matulewicz-Matulaitis, etniczny Litwin spod Mariampola, wykształcony, wyświęcony na księdza i działający duszpastersko w Kościele polskim. W interesującym nas okresie szeregowy ksiądz i wybitny społecznik (później, w latach 1918–1925, arcybiskup wileński, beatyfikowany przez Jana Pawła II w 1987 r.). W 1907 r. – przez zdumiewający indywidualny życiowy gest – uratował od biologicznego wygaśnięcia zamknięte niegdyś przez carat XVIII-wieczne zgromadzenie księży marianów. Złożył mianowicie ukryte śluby zakonne na ręce ostatniego żyjącego starca-zakonnika. Odnawiając tym samym ginące zgromadzenie i z konieczności nadając mu formę ukrytą na terenie cesarstwa rosyjskiego, w ciągu paru lat zgromadził sporą liczbę zapalonych konspiracyjnych członków. Szczególną

rolą tego zespołu młodych księży stała się praca na terenach wschodniej Polski, Litwy, Łotwy i Białorusi i działanie w celu przezwyciężenia wszelkich tamtejszych animozji narodowościowych. Akcja ta, rozpoczęta jeszcze przed I wojną światową i trwająca w dramatycznie zmieniających się warunkach przez całe minione stulecie, w znacznym stopniu poprawiła wzajemne odnoszenie się zwaśnionych społeczności i atmosferę w regionalnym Kościele.

Echa sporów litewsko-polskich z przełomu wieków dają się poza sferą kościelną słyszeć także w literaturze pięknej. Najwyraźniejszy jest tutaj Józef Weyssenhoff, podejmujący tę tematykę zwłaszcza w *Dniach politycznych* (1908) i w *Unii* (1911). Pisarz wydaje się wprost zgorszony brutalnością litewskich ataków na odwiecznie obecną na Litwie elitarną kulturę polską. Głosciciele *uwolnienia się od polskości* traktuje w swych powieściach ze zjadliwą ironią, a hasło powrotu do jagiellońskiej idei unii formułuje z pozycji Polaka, a więc partnera nieporównanie silniejszego i kulturowo dojrzałego. Zupełnie innym tonem mówi o tych samych sprawach pisarz i poeta polsko-litewski Józef Albin Herbaczewski w swych szukających porozumienia publicystycznych książkach *Odrodzenie Litwy wobec idei polskiej* (1905) i *Głos bólu. Sprawa odrodzenia narodowego Litwy w związku ze sprawą wyzwolenia narodowego Polski* (1912).

### Czas pisarzy politycznych

Przemiany polityczne w Rosji po roku 1905 radykalnie zmieniły warunki zajmowania się polityką i publicznej dyskusji na tematy polityczne. Możliwość zakładania partii politycznych i znaczne zmniejszenie działania cenzury prasy po pierwsze wywołały dużo szersze zainteresowanie tą problematyką ze strony tych osób i środowisk, które wcześniej wołały milczeć, a może nawet nie myśleć o sprawach niebezpiecznych. Teraz odwaga staniała. Po drugie – nowo zakładane lub ujawniające swe istnienie partie w trosce o przyciągnięcie zwolenników dążyły do ujawnienia swych różnokierunkowych, ale zawsze skłonnych do radykalizmu programów. Pożądane były sformułowania mocne. Po trzecie – przestały się liczyć aluzje w dziełach literackich czy zawoalowane treści kazań. Przyszedł czas analiz i manifestów politycznych.

Wkraczając w tę szczegółową tematykę, należy jednak koniecznie cofnąć się w czasie. Pierwsza, bardzo ważna i bardzo radykalna wypowiedź na temat tożsamości ludu ogromnych połaci dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego i jego aspiracji politycznych pochodzi przecież z przełomu lat 1862/1863. Dotyczy ona Białorusinów, a jej autorem jest *Jas'ko, gospodar spod Wilni*. Pod tym pseudonimem występuje Konstanty Kalinowski (Kastus' Kalinauski), publikujący

swe powstańcze wezwania do białoruskiej ludności chłopskiej w wydawanym przez siebie nielegalnym czasopiśmie *Mużycka prauda*.

Kastus' Kalinauski etnicznie jest Polakiem, ojciec jego pochodzi z podlaskiego zaścianka, a sam Kastus' rodzi się w Mostowlanach na obecnej granicy polsko-białoruskiej. Od najwcześniejszych lat odnajduje jednak w sobie tożsamość białoruską i chłopską i daje jej wyraz bardzo radykalny, stając się pierwszym wyrazicielem socjalnych i politycznych aspiracji ludu białoruskiego. Myśl Kalinauskiego można streścić następująco: Białorusini to niemal wyłącznie chłopci, tożsamość narodowa pokrywa się tu z socjalno-kulturową, a ich wyzwolenie musi się dokonać w obu wymiarach. Rosja carska jest dla Białorusinów wrogiem w nich obu. W walce z tym wrogiem dobrze iść razem z *polskimi panami*, na których liczyć można nie zawsze, ale też nie należy współdziałania z nimi z góry odrzucać. Istotna wydaje się odmienność tej wizji od idei żywych w 1862 r. w kręgach zarówno emigracyjnych, jak i warszawskich: to nie białoruski chłop ma dobiec do szeregów polskiego powstania narodowego, ale polski pan ma wesprzeć wolnościową walkę Białorusina z carską przemocą. To chyba pierwszy – i bardzo wczesny – sygnał przekształcania się białoruskiego poczucia tożsamości socjalnej w narodową. Pytanie, jak traktować nadawcę tego sygnału – jako świadomego swej odrębności Białorusina czy jako polskiego politycznego *suflera* – jest do dziś żywe w historiografii białoruskiej. Spór o Kalinauskiego w 150 lat po jego śmierci z rąk rosyjskich na szubienicy na Placu Łukiskim w Wilnie jest tam wciąż ściśle uwarunkowany przez bieżącą sytuację narodu zagrożonego w swej tożsamości i podmiotowości politycznej.

Po upadku powstania styczniowego przygnieciona tym ciosem polska myśl polityczna zamarła na blisko ćwierć wieku. Wraz z tym i refleksja na tematy uciemiężonych ludów i narodów Europy Wschodniej pozostawiona była tylko literaturze i sztuce. Nowe analizy i poszukiwania ideowe w tej problematyce pojawiły się chyba dopiero na przełomie lat 1880–1890.

Przegląd znaczących opinii w tej dziedzinie można zacząć od głosu Bolesława Wysłoucha w jego *Szkicach programowych*, opublikowanych w świeżo założonym lwowskim *Przeglądzie Społecznym* w kwietniu 1886 r. Pochodzący z Polesia autor, wychodząc z założenia, że wszelki program narodowy musi być wyrazem tożsamości miejscowego ludu, zakreślał projektem odrodzenia państwa polskiego granice etnograficznej bazy polskiej. Wykroczenie poza te granice musiałoby być poszukiwaniem szczególnej unii, łączącej w jednym państwie narody odrębne i ściśle określającej zasady ich autonomii oraz gwarantującej im właściwe swobody. Wystąpienie Wysłoucha ma charakter teoretyczny i podkreśla etniczny fundament postulowanej tożsamości politycznej. Wskazuje równocześnie, że problem niepolskiej tożsamości ludu białoruskiej



części dawnego Wielkiego Księstwa jest już dostrzeżony jako ważny nawet z perspektywy najmniej upolitycznionego Polesia.

Opinii Wysłoucha o decydującym dla tożsamości narodowej znaczeniu czynnika etnicznego przeciwstawił się w następnym numerze *Przeglądu Społecznego* Infantczyk Bolesław Limanowski, podkreślając wagę toku wydarzeń historycznych, kształtujących kulturową fizjonomię danego ludu. Jego kultura i duchowa podmiotowość kształtuje się w spotkaniu lub zderzeniu rodzimego folkloru z treściami napływającymi z zewnątrz. Taki też dwudzielny jest fundament tożsamości politycznej.

Te skoncentrowane na kwestii tożsamości kultur narodowych i na wpół filozoficzne wypowiedzi dwóch ludzi, zapamiętanych przez polską historiografię głównie w rolach protagonistów i przywódców wielkich ruchów politycznych – ludowego i socjalistycznego – zarysowały teoretyczną płaszczyznę późniejszych polskich sporów o relacje Polaków z narodami, wylaniającymi się jako osobne byty z dawnej tradycji Rzeczypospolitej. Dalsza debata nad losem ludów Europy Wschodniej potoczyła się jednak w kategoriach możliwych strategii politycznych istniejącej realnie Rosji i domagającej się powrotu do istnienia Polski.

Pierwszego kroku w tym kierunku dokonał Jan Ludwik Popławski w swym artykule *Nasze stanowisko na Litwie i Rusi*, opublikowanym w 1896 r. w *Przeglądzie Wszechpolskim*. Punktem wyjścia zawartej tam analizy jest stwierdzenie, że głównym przedmiotem wielowiekowego sporu między Rosją a Polską jest przynależność do któregoś z tych państw i ogromnego terytorium *od Bugu i Niemna, a jak twierdzą niektórzy i od Sanu, aż po Dniepr i Dźwinę*. Rosjanie nieodmiennie domagają się od Polaków nie tylko zaniechania *wszelkich dążeń politycznych, ale i najskromniejszych praw do zachowania odrębności narodowej i kulturalnej*. Popławski wykazuje, że podobna *abdykacja* ze strony polskiej ani nie jest możliwa, ani nie znajduje żadnych uzasadnień politycznych.

Autor stoi na stanowisku, że teren sporny *politycznie może być jedynie albo polskim, albo rosyjskim. Tertium non datur – przynajmniej w zakresie możliwych przewidywań politycznych*<sup>7</sup>. Stwierdzenie to wydaje się wyjątkowo ważne dla naszego tematu postrzegania losu narodów wschodnioeuropejskich przez ówczesną polską myśl polityczną. Podmiotami politycznymi w tym regionie mogą być, zdaniem Popławskiego, tylko Rosja i Polska. To postrzeganie tamtejszej rzeczywistości historycznej – społecznej i kulturowej – wyznaczyło dalszą drogę całej późniejszej myśli endeckiej. Może zresztą nie tylko jej. Na przełomie stuleci podzielała je bodaj cała opinia publiczna Polski etnograficznej. Z rze-

---

<sup>7</sup> J.L. Popławski (1896): *Nasze stanowisko na Litwie i Rusi*, *Przegląd Wszechpolski*, nr 8, s. 170.

czywistej rangi narodotwórczej i politycznej dokonującej się już wtedy eksplozji wschodnioeuropejskich kultur ludowych zdawali sobie wówczas sprawę tylko niektórzy obserwatorzy życia zbiorowego, mieszkający na ziemiach dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Popławski, badając szczegółowo statystyki językowe, wyznaniowe i agrarne tych terenów, skupiał uwagę jedynie na liczebności, poziomie kulturalnym i stanie posiadania ziemi przez Polaków – liczyli się dłań tylko oni i ich szanse w zderzeniu z obecną tam potęgą rosyjską. W odróżnieniu zresztą od późniejszych pisarzy obozu narodowego szanse Polaków w tym sporze z Rosją oceniał wysoko. Z tego też względu był przeciwnikiem wszelkiej polskiej *abdykacji* z dawnych wschodnich ziem Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Swój programowy artykuł kończył Popławski następującą refleksją: *Dla kraju tego i jego ludności mamy obowiązki nie w znaczeniu ofiary błagalnej za jakieś winy urojone, ale dlatego, że interes nasz narodowy wymaga popierania świadomości plemiennej i politycznej Litwinów i Rusinów. Nie przesądzać przyszłości tych ruchów narodowych, ani zmian możliwych kiedyś w układzie stosunków wzajemnych, uznając nie tylko w zasadzie, ale i zalecając w działaniu praktycznym popieranie tych dążeń, jeżeli się wrogo dążeniom naszym nie przeciwstawiają, zaznaczamy jednak stanowczo, że politycznie i kulturalnie kraj jest dzisiaj polski. Nie ma zaś w tym sprzeczności żadnej, bo wolny, nie skrępowany rozwój narodowościowy jest rysem znamienym naszej obyczajowości i tradycji politycznej. Sprawa toczy się nie tylko o to, czy kraj zabrany ma być polskim czy rosyjskim, ale właściwie o to – czy ma być politycznie polskim, z równouprawnieniem odrębności narodowych, czy też rosyjskim, z przymusowym sprowadzeniem do jednego mianownika i centralizacją krępującą wszelką samodzielność społeczną?*

Problematyka tego regionu i tamtejszych, coraz wyraźniej zaznaczających swą odrębność i podmiotowość, narodów była dla Popławskiego ważna jako czynnik wpływający na bieg dziejowego sporu między Polską i Rosją. Dlatego przede wszystkim wymagała ona jego zdaniem skupionej polskiej uwagi. Inaczej potraktowali tę tematykę późniejsi twórcy endeckiej myśli politycznej z samym Romanem Dmowskim na czele.

Zarys ewoluującego już przed wojną światową stanowiska Dmowskiego wobec problematyki *ziem zabranych* i ich ludności można odczytać z jego czterech istotnych wypowiedzi: ze studium *Wykształcenie polityczne*, powstałego w 1898 r. i publikowanego w *Kwartalniku naukowo-politycznym i społecznym*, potem zaś z jego trzech szeroko znanych i ważnych książek: *Myśli nowoczesnego Polaka* (1903), *Niemcy, Rosja i kwestia polska* (1908) i *Upadek myśli konserwatywnej w Polsce* (luty 1914).

W zestawieniu z dociekliwymi analizami Popławskiego uderza zaskakująca zdawkowość większości wypowiedzi Dmowskiego na te tematy. *Ziemie zabrane*

go w gruncie rzeczy nie interesują, wspomina więc je, omawiając wszystkie części podzielonej między zaborców Polski, ale po wielostronicowych kolejnych omówieniach zaboru pruskiego, Galicji i Kongresówki uznanemu za marginalny tematowi poświęca bardzo niewiele uwagi.

W 1895 r. publikuje w *Przeglądzie Wszeczpolskim* duży artykuł pt. *Kwestia litewska*, ale cały ruch narodowego odrodzenia litewskiego postrzega jako słaby, sztucznie podsycany przez antypolską propagandę rosyjską. Napięcia litewsko-polskie wydają mu się łatwe do przewyciężenia na zasadzie uznania istnienia jednej ojczyzny, w której obok w pełni wykształconego języka polskiego może i powinien rozwijać się także ubogi język litewski. Wydaje się więc, że zdaniem Dmowskiego kultura polska ma w tej symbiozie odgrywać rolę starszego brata<sup>8</sup>.

W *Myślach nowoczesnego Polaka* ironizuje jednak na temat dawnej polskiej polityki wschodniej, pisząc: *Połączyliśmy się z Litwą, stworzyliśmy szlachtę litewską i ruską, zanim zdołała się ona ucywilizować należycie, zdobyć odpowiednią kulturę polityczną, zrównaliśmy ją z Polakami we wpływie na politykę Rzeczypospolitej, dzięki czemu wkrótce zdobyła ona przewagę i zwróciła nas frontem ku wschodowi, ku stepom, odciągając od zachodu i od morza. Zrobiliśmy to, bo nam więcej chodziło o spokój, o wygodną osłonę od niepokojącego nas ciągle Wschodu, niż o władzę, o jednolitość i o potęgę Rzeczypospolitej. Dla tej samej przyczyny pozwoliliśmy się rozrosnąć i rozhułać kozaczyźnie. Wszystko to uważamy za szczyt mądrej i szlachetnej polityki, za najlepszy przykład do naśladownictwa*<sup>9</sup>. Zdaniem Dmowskiego jest to tylko przykład zgubnej bierności politycznej i politycznego wygodnictwa dawnych Polaków. W 1908 r. pisze Dmowski o *ziemiach zabranych* inaczej, spoglądając na nie w kontekście współczesnym i przyszłościowym, a zarazem ściśle geopolitycznym. Litwa i Ruś, w odróżnieniu od etnicznie polskiego Królestwa Kongresowego, są jego zdaniem realnie potrzebne Rosji. Z tym Polacy powinni się pogodzić i uznać, że po długotrwałej akcji rusyfikacyjnej i po ujawnieniu się narodotwórczych procesów litewskich *nie są te ziemie twierdzą polskości, w której się ona sama do swej walki dziejowej organizuje i w której sama musi gospodarzyć, jeżeli jej zadania dziejowe mają być spełnione. Ta twierdza leży nad Wisłą...*<sup>10</sup>. W tej zaś sytuacji dalszy los ziem na wschodzie i ich różnoimiennej ludności staje się Dmowskiemu obojętny.

Jan Ludwik Popławski i Roman Dmowski to niewątpliwie dwaj najwybitniejsi koryfeusze ideowej i politycznej myśli obozu narodowego na kolejnych

<sup>8</sup> R. Dmowski (1895): *Kwestja litewska, Przegląd Wszeczpolski*, przedruk: *Pisma*, t. 3, *Dziesięć lat walki*. Częstochowa 1938, s. 32–41.

<sup>9</sup> *Id.*, *Myśli nowoczesnego Polaka* (1903): wyd. 12 Wrocław 2002, s. 40.

<sup>10</sup> *Id.*, *Niemcy, Rosja i kwestia polska* (1908). Przedruk: *Pisma*, t. 2, Częstochowa 1938, s. 244.

etapach jej tworzenia i formułowania. Oni stali się twórcami idei wszechpolskiej, uświadamiającej Polakom z trzech zaborczych państw, że jako ludzie jednego narodu powinni wspólnie odnaleźć koncepcję dalszego jego trwania i dążenia do odbudowy własnego państwa. Idea ta miała swój bogaty program wychowawczy, skierowany do różnych warstw społecznych we wszystkich trzech zaborach, a także kilkakrotnie formułowała zmieniające się w czasie wskazania polityczne.

Program wychowawczy, bardzo kategorycznie stawiający na czele wartości etycznych dobro uciemionego narodu polskiego, w wielu wypowiedziach i działaniach stawał się otwartą propagandą nacjonalizmu, agresywnego przede wszystkim wobec mniejszości narodowych. Wrogiem pierwszym stawiali się Żydzi, ale atak szedł także wobec narodów niegdyś współżyjących z Polakami w przedrozbiorowej Rzeczypospolitej.

Ewolucja polityczna obozu narodowego, wychodzącego od bardzo radykalnie brzmiącego hasła *obrony czynnej*, stopniowo oddalała się od myśli o gwałtownych wystąpieniach i nakłaniała do akcji mieszczących się w granicach legalności, narzuconych przez zaborców. Równocześnie, w okresie narastania w Europie atmosfery konfliktu między tworzącą się ententą a blokiem państw centralnych, obóz narodowy jednoznacznie przyjmował orientację antyniemiecką, co w praktyce oznaczać musiało opowiadanie się po stronie Rosji.

Nacjonalistyczne tendencje ideowe Narodowej Demokracji i jednoczesna troska, by nie zadrażniać politycznych relacji z nieco zliberalizowaną po 1905 r. Rosją, oczywiście hamowały polityków tej partii przed wypowiedziami o aktualnym losie i przyszłych perspektywach Litwinów, Białorusinów czy Łotyszy. Tę tematykę uznawali więc za obcą, a zatem obojętną. Pozostawała sprawa żyjących tam setki tysięcy Polaków. Zupełnie nieważną nie chciał jej ogłosić nikt, ale wodzom obozu endeckiego, a w jakimś stopniu i większości ludzi z Polski etnograficznej, z Kongresówki, wydawała się sprawą cudzą. Dla niektórych dalekim okazywał się przy tym nie tylko Witebsk, Mozyrz czy Krasław, lecz także Białystok i Drohiczyn.

Sprawa cudza znana bywa dość pobieżnie. Można było przytaczać urzędowe statystyki rosyjskie, ale miejscowe realia i tamtejsza atmosfera społeczna, głęboko inna od tej z Kongresówki, wyczuwana nie była. Ani przez Dmowskiego z warszawskiej Pragi, ani przez wywodzącego się spod Lublina Popławskiego.

Ujawnia się to przy porównaniu ich tekstów z wypowiedziami autorów takich, jak dziwny poleski konserwatysta Roman Skirmunt, Michał Romer z powiatu jezioroskiego na północnym wschodzie Litwy, dyneburczyk Władysław Studnicki czy socjalista i piłsudczyk Leon Wasilewski, urodzony w Petersburgu, ale z korzeniami żmudzkiimi i inflanckimi. Przy znacznych różnicach w ich poglądach i zaangażowaniach politycznych łatwo uchwycić wspólne im

traktowanie właśnie tych ziem i żyjących na nich narodów jako najbliższego, naturalnego otoczenia. To Polacy z dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego i Inflant, mentalnie różni od swych rodaków z Korony.

Szczególnie wyraźnie uwidocznia się to w wypadku Romana Skirmunta. Ten syn najbardziej znanego i reprezentatywnego ziemiańskiego rodu Polesia zabiera głos w 1905 r., w momencie zapowiedzi liberalizacji rosyjskiego systemu politycznego, publikując we Lwowie broszurę *Głos przeszłości i potrzeba chwili. Stanowisko szlachty w Litwie i Rusi*. Wywód autora można streścić w kilku punktach. Ojczyzną w sensie ścisłym jest ziemia tutejsza. Więzy z Polską jest bardzo głęboka: cztery wieki wspólnej państwowości, stamtąd wiara, zachodnia kultura, umiłowanie wolności i wstręt do autorytaryzmu typowego dla Rosjan, zawsze podległych aktualnej władzy. Długa tradycja wspólnoty politycznej z Litwinami, a od czasu Jagielly – także z Polakami, toteż *dziś elementu polskiego w Litwie i Rusi za obcy poczytywać nie można, przybysze zasymilowali się z elementem miejscowym. Dziś Rosja niewoli wszystkich, ale najciężej – Rusinów. Teza o izolacji ziemianina od ludu jest wymysłem antypolskiej propagandy rosyjskiej. Współcześnie lud odkrywa swą tożsamość narodową – na Litwie już odkrył, na Rusi to się właśnie dokonuje. Nie szlachta i nieliczna inteligencja nadadzą barwę sztandarowi kraju, tylko lud*<sup>11</sup>. Polskość ma tu prawo bytu, ale będzie mniejszością. Polak nie powinien stąd uciekać, ma być wiernym tej ziemi i właśnie Rusinom, którym jest najciężej.

Zwraca tu uwagę wyjątkowo wczesne dostrzeżenie narodotwórczego procesu Białorusinów, uznanych jeszcze wówczas przez innych polskich autorów za całkiem bierny *materiał etniczny*. Jeszcze bardziej charakterystyczne jest u Skirmunta określenie *ojczyzny ścisłej*, na pewno nie tożsamej z popularnym dziś pojęciem *małej ojczyzny*. Jest nią *ziemia tutejsza*. Odnosząc się do czasów późniejszych, warto pamiętać, że takie przekonania powiodły tego poleskiego ziemianina w 1917 r. do przewodniczenia Białoruskiemu Komitetowi Narodowemu, a w rok później do objęcia stanowiska premiera krótkotrwałego rządu Białoruskiej Republiki Ludowej. W latach 1930–1935 był senatorem RP, a zginął z rąk sowieckich w październiku 1939 r. w rodzinnym majątku poleskim.

Skirmunt – jak wcześniej Kalinauski – dostrzegł i zrozumiał narodową tożsamość Białorusina. Łatwiej było zobaczyć i usłyszeć Litwinów. Na narodowym ruchu litewskim skupił uwagę Michał Romer, wydając w 1908 r. – też we Lwowie – książkę *Litwa. Studium o odrodzeniu narodu litewskiego*. Stanowiła ona szczegółową analizę poszczególnych etapów rozwoju i różnicowania się prądów odrodzieńczych, począwszy od wydarzeń kulturalnych pierwszej połowy

---

<sup>11</sup> Romunt [R. Skirmunt] (1905): *Głos przeszłości i potrzeba chwili. Stanowisko szlachty w Litwie i Rusi*, Lwów, s. 20 i 29, *passim*.



XIX stulecia. Przypomnienie roli Jucewicza, Paszkiewicza, Narbutta czy Syromkli w obudzeniu litewskiej świadomości narodowej kruszyło popularny wśród litewskich Polaków mit, że cała idea litewskiej odrębności kulturowej od wpływów polskich jest produktem propagandy carskiej. Czynnikiem decydującym o procesie odrodzenia widział Romer w pojawieniu się na scenie kulturowej nowej warstwy – inteligencji pochodzenia ludowego, która stopniowo odkrywała swoją narodową tożsamość. Proces ten podlegał różnym, często przeciwnym, wpływom klerykalnym i dość agresywnie laickim, konserwatywnym bądź radykalnym społecznie, ugodowym wobec rosyjskiej władzy lub też zdecydowanie jej przeciwnym. Walka ideologów litewskiego odrodzenia z groźną dla niego dynamiką trwającej od pokoleń kulturowej polonizacji Litwy była zdaniem Romera naturalną tendencją obrony wartości rodzimych, mocniej odczuwanych przez nową inteligencję ludową niż przez silnie spolonizowaną – szlachecką. Oczywiście prąd ten miał swe objawy ewidentnie fałszywe, zdaniem Romera najostrzej rysujące się w szkodliwych społecznie konfliktach wewnątrzkościelnych. W sumie – przedstawiony w jego książce obraz sytuacji miał z jednej strony pokazać wagę całej problematyki relacji polsko-litewskich i ich głębsze mechanizmy, z drugiej – uspakajając atmosferę obopólnych niechęci i podejrzeń.

W dwa lata po Michale Romerze głos w tej sprawie zabrał głośny wówczas publicysta polityczny, pochodzący z Inflant Władysław Gizbert Studnicki. W swej skomplikowanej ewolucji przynależności partyjnej – od PPS przez ruch ludowy i endecję do politycznego samotnictwa – zawsze radykalnie i ostro antyrosyjski, w tym właśnie duchu komentował proces litewskiego odrodzenia narodowego. W wydanej w 1910 r. w Poznaniu książce *Sprawa polska* charakteryzował rosyjską politykę wobec Litwy i Litwinów. Szczegółowo omawiając carskie zakazy kupna ziemi przez nabywców – katolików, potem próby rusyfikacji języka katolickich nabożeństw dodatkowych, a wreszcie zakaz druku tekstów litewskich czcionką łacińską, Studnicki wskazywał na wagę tych posunięć nie tylko dla polskości, ale i dla narodowej tożsamości litewskiej. Doceniając wartość ruchu odrodzenia litewskiego, wskazywał jednocześnie, że żywe w nim tendencje antypolskie są rezultatem wzmożonej rusyfikacji szkolnej i wydawniczej na Litwie<sup>12</sup>.

<sup>12</sup> Por. W. Studnicki, *Sprawa polska* (1910): Poznań, wyd. 2 Komorów 2009, s. 481–496. Wspominając tu opinie Studnickiego z 1910 roku, trudno pominąć jego dalszą drogę ideologiczną. Trzeba przypomnieć jego gwałtowne wystąpienia prasowe przeciw powstającemu w 1920 roku niepodległemu państwu litewskiemu. Krańcowa rusofobia przeszła u Studnickiego w zaskakująco silną proniemieckość. Pragnął więc silnych i militarnych Niemiec nad wschodnim Bałtykiem. Potem – w czasie II wojny

Pozostaje wreszcie głos Leona Wasilewskiego, wybitnego współtwórcy obozu polskich socjalistów-niepodległościowców. Problematyką litewską i białoruską zajmował się w swej publicystyce wielokrotnie, a w roku 1912 poświęcił jej wydaną w Krakowie książkę *Litwa i Białoruś. Przeszłość – teraźniejszość – tendencje rozwojowe*. Pisarstwo Wasilewskiego jest szczególne: więcej w nim opisu kolejnych faktów niż propozycji ideologicznych ocen. W doborze przedstawianych wydarzeń krzyżują się dwie charakterystyczne dla ówczesnego piłsudczykowskiego PPS osie tematyczne: socjalna i narodowościowa. Wasilewski szeroko omawia dawne dzieje Wielkiego Księstwa Litewskiego, później dokonuje szczegółowej analizy skomplikowanego zasięgu różnych narodowości na terenie Litwy i Białorusi. Na tym tle charakteryzuje ich dążenia i szanse ich realizacji. Zwraca uwagę na dynamikę Litwinów, wskazując równocześnie na niewspółmierność ich żądań i rzeczywistej proporcji ludnościowej, dającej znacznie większe szanse niedostatecznie jeszcze rozbudowanym narodowo i najslabszym socjalnie Białorusinom. Szerzej od innych autorów omawia także losy dużej społeczności żydowskiej, słabnącej jednak na Litwie z uwagi na gwałtowną emigrację, skierowaną głównie do USA. W rysowanym przez Wasilewskiego obrazie społeczno-kulturowym kraju liczą się więc przede wszystkim dwie siły: Polacy i Litwini. Rosja pozostaje tylko politycznym zaborcą – a ten jej status jest w przekonaniu Wasilewskiego mało istotny, bo z natury przejściowy<sup>13</sup>. Takie podejście do potęgi caratu, wyrażane po blisko 120 latach jego nieprzerwanego panowania na tym terenie – i na dwa lata przed Wielką Wojną, która miała położyć temu panowaniu kres – wiele mówi o trwałości naczelnych pewników polskiej myśli politycznej XIX w. i o jej istotnej przenikliwości.

W całości przedstawionych tutaj rozważań pojęcie polskiej myśli politycznej XIX w. potraktowane zostało szeroko, z uwzględnieniem jej przejawów w literaturze pięknej czy nawet w niektórych wątkach nauczania kościelnego. Takie ujęcie tematu wynikało przede wszystkim z samej sytuacji historycznej w badanym okresie i jej konsekwencji w sposobie uprawiania i komunikowania refleksji politycznej zniewolonemu społeczeństwu. Jakie cechy tej refleksji na temat losu i dążeń narodów Europy Wschodniej poddanych przemocy rosyjskiej wydają się dominować w uzyskanym w ten sposób obrazie?

---

światowej – głosił okupowanym Polakom wystąpienie po niemieckiej stronie przeciwko sowieckiej Rosji. Nienawiść do wszystkiego, co rosyjskie, doprowadziła go do zupełnej ideowej i politycznej ślepoty.

<sup>13</sup> L. Wasilewski (1912): *Litwa i Białoruś. Przeszłość – teraźniejszość – tendencje rozwojowe*, Kraków, passim. Wyjątkowo dokładne i pouczające statystyki narodowościowe i wyznaniowe sześciu rosyjskich guberni Litwy i Białorusi, dokonywane z różnych stron politycznych – zob. rozdział IV, s. 78–108.

Trzeba raz jeszcze podkreślić, że jest to myśl polityczna bardzo amatorska. Wypowiadają się tu nie fachowi politycy, ale grono intelektualistów i społeczników, przekonanych o swym obywatelskim obowiązku zabrania głosu w kwestiach narodowego losu. Zabrania głosu, a częściej – podjęcia działań kulturalno-społecznych w imię tak czy inaczej określanych wartości. To najczęściej ludzie o temperamencie budzicieli. Z tego pojmowania swej roli społecznej wynika kilka charakterystycznych cech ich wystąpień.

Głównym przedmiotem ich zainteresowania jest zbiorowa świadomość, uczucie i myśl, pragnienia i udręczenia, bezradność i drgania rodzących się dążeń. Romantyczne zainteresowanie ludem ewoluuje tu w kierunku badania jego poczucia tożsamości – socjalnej, kulturowej, religijnej, wreszcie narodowej. Realia polityczne przede wszystkim, ale i szybko zmieniające się w drugiej połowie XIX w. warunki socjalno-cywilizacyjne, sprawiają, że obraz ludu zmienia się dynamicznie i okazuje się coraz bardziej skomplikowany.

Z tą zmienną rzeczywistością zderza się, trwająca wciąż w pamięci i domagająca się nowych odpowiedzi, *sprawa polska*. Od początku tkwiła ona na froncie polsko-rosyjskim. Tkwi tam nadal – i to jawi się jako problem najtrudniejszy, ale równocześnie na obrazie pojawiają się podmioty nowe, coraz wyrazistsze od momentu przekroczenia bariery piśmienności. Rośnie literatura litewska, pojawiają się pierwiosnki białoruskiej i łągalskiej. To znakomicie: pojawiają się sprzymierzeńcy, tak bardzo ważni w walce z rusyfikacją tam, gdzie wiejski lud nie jest etnicznie i językowo polski.

Jest to jednak historyczna zmiana jakościowa. Kultura ludu – folklor – obywa się bez zapisu i druku. Kiedy sięga po pióro i drukarskie czcionki, zmienia swą tożsamość – staje się kulturą narodową, budulcem nowej wspólnoty. Tak właśnie – poprzez zapisane i odczytywane słowo – rodzą się te nowożytnie narody, którym przyszło dojrzewać do współczesnego świata w państwach cudzych i najeźdźczych. Proces ten w drugiej połowie XIX w. i w latach następnych zasadniczo zmienia oblicze Europy Wschodniej między Rosją a Polską. Nasi rosnący dotąd z intensywną polską pomocą sprzymierzeńcy okazują się podmiotami świadomymi swej istotnej odrębności i tak chcą być traktowani przez zaskoczoną tym polską opinię publiczną.

To właśnie zjawisko staje na przelomie wieków przed polską myślą polityczną. I tu ujawnia się rzecz charakterystyczna. Problem ten w minimalnym stopniu przyciąga uwagę intelektualistów i polityków z ziem Polski etnicznej – z Kongresówki, Galicji czy z zaboru pruskiego. Głęboki w swych refleksjach nad sprawą polską Jan Ludwik Popławski mówi o tej tematyce pobieżnie, a wielkiego formatu polityk – Roman Dmowski – wręcz zdawkowo. Sprawa narodów Europy Wschodniej niegdyś współtworzących Rzeczpospolitą Obojga Narodów jest natomiast przedmiotem refleksji polskich autorów wywodzących się z dawnego

Wielkiego Księstwa, ludzi tutejszych, zaangażowanych społeczników i budzicieli poczucia zbiorowej tożsamości lokalnej, regionalnej. Poglądy mają różne, ale łączy ich punkt wyjścia: piszą nie o *sąsiadach wschodnich* ani nie o *braciach zza Buga*, ale o losie i pragnieniach ziemi ojczystej, a więc *tutejszej*. Są Polakami dlatego tak, *geograficznie*, czują swoją tożsamość. Warszawa i Kongresówka nie są im obce, ale są odległe. A litewsko-polski czy białorusko-polski lud to ich codzienny, domowy świat. Sądzę, że ta psychiczna więź z nim mówi wiele nie tylko o tych autorach, ale o sile i o treści tradycji dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

### **Patrząc ze stuletniej perspektywy...**

Ostatnie pytanie brzmi: w jakiej mierze cała ta polska myśl epoki zaborowej mogła być zacznem refleksji o przyszłych polskich relacjach z narodami Europy Wschodniej, dokonywanej najpierw po 1 sierpnia 1914, a potem – po 11 listopada 1918 r.?

Najpierw dominują wątpliwości: wojna światowa od swego początku zasadniczo zakwestionowała dotychczasową sytuację *sprawy polskiej* i obudziła nowe widzenie szansy na dalsze losy naszego kraju. Z czasem umocniła się nadzieja niewyobrażalnego przed tym powrotu niepodległości. Zmieniało się równocześnie oblicze całego kontynentu, a zwłaszcza naszego regionu. To stawiało pytania zupełnie nowe i w wielkiej mierze dezaktualizowało wszelkie wcześniejsze koncepcje.

Wagę tej przedwojennej myśli politycznej ograniczała nie tylko kolosalna zmiana sytuacji historycznej, ale i fakt, że podmiotem nowej polityki stać się musiał kto inny, już nie wędrujący poprzez tłumy pojedynczy pisarz, wychowawca czy budzielnik narodowej kultury, ale dysponujący zorganizowaną siłą militarną, a potem wprost państwową, przywódca, organizator, polityk, wódz. Z jego perspektywy owe dawne rozważania wydawać się musiały tylko cichym i nieśmiałym szmerem, mało przydatnym w godzinie, gdy potrzebny jest bojowy okrzyk lub twarda państwowa decyzja. Od dzisiejszego ruchu zależy to, co stanie się jutro: spotka nas sukces lub klęska.

Jutrzejszy sukces lub klęska są sprawą niezmiernie ważną politycznie, a czasem wręcz historycznie. Ich waga ma jednak swój czas. Poczucie tożsamości narodowej i dążenie do jej swobodnego, dumnego ujawnienia żyją w czasie dłuższym i w przestrzeni głębszej. Kiedyś może się ujawnią.

Dystans między wczorajszą myślą polityczną a dzisiejszym politycznym czynem bywa chyba zawsze. Sekret rzeczywistej trwałej wagi tego myślowego *wczoraj* okazać się jednak może nawet dopiero *pojutrze*. Minione 100 lat naszej części Europy coś nam o tym opowiada.